12 stron Cena 8 zł.

ODRODZENIE

TYGODNIK

Rok III Kraków, dnia 3 marca 1946 r. Nr 9 (66)

ST. A. MAJEWSKI

Kryzys strukturalny kapitalizmu

Z odległości historycznej łatwiej pojąć istotny sens zjawisk gospodarczo-społecznych. Od pamiętnego kryzysu gospodarczego w latach 1929—1932 dzieli nas kilkanaście lat. Warto więc spróbować dzisiaj spojrzeć na te lata niezwykłe pod każdym względem i brzemienne w katastrofalne skutki, które w dziesięć lat później nawiedziły ludzkość. Zaznaczyć należy, że właściwa, zgodna z faktami ocena tych lat ma nie tylko znaczenie historyczne, ale nader aktualne. Zmiany, jakie zaszły w gospodarce kapitalistycznej, nie tylko stały się istotnym powodem wojny światowej, której skutki dzisiaj cały świat odczuwa, ale i ciągle jeszcze oddziaływują bezpośrednio na bieg dzisiejszego życia. Jaki miał charakter kryzys gospodarczy w owych latach — koniunkturalny czy strukturalny?

Aby móc odpowiedzieć na to pytanie, uprzytomnimy sobie najpierw istotę kryzysu gospodarczego w ogóle, następnie porównamy kryzys z lat 1929—1932 pod względem nasilenia z kryzysami lat poprzednich, w końcu omówimy te zmiany zasadnicze i trwałe, które zaszły po ostatnim kryzysie w światowej gospodarce kapitalistycznej *).

Na kryzys gospodarczy zapatrywano się w XIX wieku jak na żywiołowe zjawisko nie dające się ani przewidzieć, ani opanować. Nauki społeczno-gospodarcze w XX wieku dokładniej badały i obserwowały istotę kryzysu. W wielu uniwersytetach, szczególnie amerykańskich, we wszystkich wielkich przedsiębiorstwach ustanowiono instytuty do badania koniunktury. W ten sposób rozwinęło się coś w rodzaju meteorologii ekonomicznej obserwującej horyzont gospodarczy i przepowiadającej aurę gospodarczą. Historia zaś gospodarcza wzięła pod lupę mechanizm kryzysów przeszłości. Mechanizm ten stracił dzisiaj swoją tajemniczość, jakkolwiek jeszcze nie wszystkie kółka równie dobrze znamy.

Już chronologiczne uszeregowanie okresów kryzysu jest niezmiernie pouczające. Od roku 1820 do 1914 było 10 kryzysów, a mianowicie w latach: 1825, 1836, 1847, 1857, 1866, 1873, 1882, 1890, 1900, 1907. Więc dziesięcioletnia niemal periodyczność! Stwierdzenie tej periodyczności pozwoliło ustalić przyczynę regularnie powtarzających się kryzysów w gospodarce kapitalistycznej. Zawsze wiadomo było ogólnie, że istota kryzysu polega na zakłóceniu normalnego stosunku ilościowego między produkcją a konsumcją. Pojawia się nagle nadmiar dóbr produkowanych masowo, dla których brak zbytu. Bliższe zbadanie pokazuje, że kryzys zaczyna się niemal zawsze od nadmiaru dóbr inwestycyjnych. Jest to zrozumiałe. Konsumcja ulega stosunkowo powolnym zmianom, ma ona tendencję do utrzymywania się na pewnym poziomie. Jest ona tym bardziej stała ilościowo, im bardziej dobra konsumowane są niezbędne do życia. Inaczej dzieje się, jeżeli chodzi o dobra inwestycyjne, zwłaszcza, jak to przeważnie bywa, gdy mają one zbyt na rynku leżącym poza granicami kraju produkującego. Okres zapotrzebowania na pewne dobra inwestycyjne jest ograniczony, trwa on aż do czasu wyposażenia budowanych warsztatów w odpowiedni sprzęt przemysłowy. Zakończenie procesu inwestycyjnego w kraju importującym powoduje zastój w produkcji dóbr inwestycyjnych w kraju eksportującym. Chwilowe i lokalne zaburzenia w mechanizmie gospodarczym mogą być wywołane także przez inne przyczyny, ale kryzys ogólny o zasięgu światowym zaczyna się zawsze od załamania się produkcji dóbr inwestycyjnych. Przemysł bowiem produkujący sprzęt maszynowy opiera się w tak dużym stopniu na innych gałęziach produkcji, że zaburzenia w jego produkcji wywołują reperkusje w całej gospodarce najpierw krajowej, a potem światowej.

Tak było też w r. 1929. Od 1924—1929 Europa zniszczona przez działania wojenne odbudowywała się, sprowadzając dobra inwestycyjne ze Stanów Zjednoczonych. Ale okres inwestycji powojennych skończył się około roku 1930, wówczas nastąpiła depresja w przemyśle produkującym dobra inwestycyjne w Stanach Zjednoczonych. Załamanie w tej dziedzinie pociągnęło za sobą tamtejszą gospodarkę narodową, a później całą Europę (z wyjątkiem ZSRR).

Przebieg kryzysu był taki sam jak w poprzednich okresach, rządzi nim bowiem pewna logika, ta sama, która również powoduje, że powtarza się on periodycznie mniej więcej w równych odstępach lat. Najpierw reaguje giełda — ów barometr gospodarki kapitalistycznej — zniżką notowań kursów akcji. Giełda sygnalizuje, że pewne przedsiębiorstwa nie mają zbytu na swoje wytwory. Przemysł, który nie może zbyć swych dóbr, zaczyna odczuwać brak gotówki i zmuszony jest dla uregulowania płatności zaciągać pożyczki. To z kolei powoduje podrożenie pieniądza, wzrost stopy procentowej i eskontowej i tym samym spadek cen wszystkich towarów. Pod wpływem spadku cen towarów i podrożenia pieniędzy konsumenci wstrzymują się od kupowania towarów, bez których mogą się czasowo obejść. Kryzys ogarnia wymianę. Wielkie magazyny zawieszają wypłaty. Wreszcie przychodzi kolej na przemysł produkujący dobra konsumcyjne... Następują redukcje pracowników, co powoduje dalsze kurczenie się konsumcji. W ten sposób kryzys pogłębiając się zatacza coraz szersze kręgi i wciąga w swój wir coraz inne gałęzie życia gospodarczego. Jak dalece obraz ten jest charakterystyczny dla kryzysów o zasięgu światowym, świadczyć może następujący fakt: W roku 1932 pewien wielki dziennik amerykański zamieścił artykuł, który dał doskonały opis i świetną analizę ówczesnego kryzysu światowego i wywołał duże zainteresowanie. Kilka dni później redakcja dziennika podała do wiadomości, że artykuł ten pochodzi z roku 1857...

Jeżeli kryzys mija, nie powodując zasadniczych i trwałych zmian w gospodarstwie kapitalistycznym, mówimy, że miał on charakter **koniunkturalny.** Taki charakter miały niewątpliwie wszystkie kryzysy, które nawiedziły Europę przed pierwszą wojną światową.

Kryzys koniunkturalny przechodzi dwa stadia: jedno — ostre, które trwa krótko, jest to przesilenie we właściwym tego słowa znaczeniu, drugie — stadium przewlekłej depresji. Po kilku latach koniunktura się powoli poprawia i cykl prosperity rozpoczyna się na nowo, gdyż przemysł inwestycyjny znalazł nowe rynki zbytu. Na produkcję dóbr zapotrzebowanych przez te rynki przestawiają się nawet warsztaty pracy, które takich dóbr do owego czasu nie wytwarzały. Powrotna fala zatacza coraz szersze kręgi. Zmniejsza się stopniowo i znika wreszcie bezrobocie. Konsumcja krajowa wzrasta, a ceny towarów podnoszą się. Produkcja dóbr konsumcyjnych ożywia się. Pieniądz tanieje, tj. następuje obniżka stopy procentowej i eskontowej, a akcje idą w górę. Wzrasta energia obrotów, rośnie ilość aktów wymiany, lokata kapitałów i interesów kredytowych. Słowem, gospodarka powoli wchodzi w stadium boomu.

Przyjrzyjmy się z kolei nieco bliżej kryzysowi gospodarczemu w latach 1929—1932. Kryzys ten był powszechny, ale najsilniej wstrząsnął on podstawami społeczeństwa Stanów Zjednoczonych i Niemiec, dwóch krajów, w których kapitalizm osiągnął najwyższą formę swego rozwoju. Rok 1929 w Stanach Zjednoczonych był punktem kulminacyjnym „prosperity", która bez przerwy trwała już 7—8 lat. Zdawało się, że ziściło się marzenie o kapitalizmie bez kryzysów. We wrześniu tegoż roku oświadczył prezydent giełdy towarowej w Nowym Jorku: „Najwidoczniej skończyły się cykle gospodarcze, które dotąd nas nawiedzały". Meteorologowie ekonomiczni notowali wyż gospodarczy i zapowiadali trwałą pogodę.

I oto nagle kilka tygodni później wielki krach na giełdzie w Nowym Jorku sygnalizował nadchodzącą burzę. Podaż akcji osiągnęła niespotykane dotąd rozmiary, w ciągu kilku dni kursy ich spadły o 30%. Prezydent Hoover (nazywany w Ameryce the president of the prosperity) organizuje natychmiast interwencję finansową banków dla podtrzymania giełdy i lansuje hasło „buy now" („róbcie teraz zakupy"). Ale ani interwencja na giełdzie, ani to hasło nie powstrzymują kryzysu, pogłębia się on z każdym dniem i wywołuje reperkusje w najdalszych zakątkach świata. Poniższa tabela ilustruje porównawczo nasilenie kryzysów, wyszczególniając o ile % spadły ceny i produkcja:

Rok kryzysu	produkcja surówki	kursy akcji	skurczenie się handlu światowego	ceny hurtowe
1873—1875	8%	30%	5%	13%
1883—1885	10%	29%	4%	*)
1890—1892	6,5%	*)	*)	12%
1907—1908	23%	37%	7%	6%
1929—1932	55%	75%	61%	30%

Z tabeli tej widać, że ostatni kryzys był pod względem nasilenia bez precedensu w historii kapitalizmu. Szczególnie wymowna jest cyfra ilustrująca spadek produkcji surówki, która jest podstawowym półfabrykatem przemysłu inwestycyjnego. Jak w każdym kryzysie o zasięgu światowym, przede wszystkim i najsilniej zostaje dotknięty przemysł inwestycyjny. Stosunek więc spadku w dziedzinie produkcji dóbr inwestycyjnych do spadku produkcji w dziedzinie dóbr konsumcyjnych może być uważany za miernik nasilenia kryzysu. Otóż w latach 1930—1932 wskaźnik produkcji dóbr inwestycyjnych wynosił w Stanach Zjednoczonych 24%, a wskaźnik produkcji dóbr konsumcyjnych 73%, licząc rok 1929 jako 100%.

Toież kryzys ten przybrał w Stanach Zjednoczonych formę katastrofy społecznej. Dnia 4 marca 1933 r. Roosevelt objął po Hooverze najwyższą władzę w państwie. Dnia tego wszystkie banki amerykańskie były zamknięte wskutek ogłoszenia powszechnego moratorium; wypadek taki po raz pierwszy zdarzył się w historii tego kraju. Sprawozdania i reportaże z owych czasów opisują całkowitą konsternację i utratę równowagi duchowej społeczeństwa; w ciągu wielu tygodni Ameryka przeświadczona była, że nadszedł koniec systemu i cywilizacji, z której była ona tak dumna. Zimą r. 1932—1933 bezrobocie jeszcze się zaostrzyło. Liczono tam przeszło 13 milionów bezrobotnych, a organizacje udzielające zasiłków goniły resztkami i nie mogły sprostać coraz cięższym zadaniom. Obok robotników fabrycznych coraz liczniejsza stawała się masa bezrobotnych „w białych kołnierzykach" — to jest urzędników, adwokatów, architektów i w ogóle inteligencji wszelkiego rodzaju; której się wyczerpały zasoby i która na gwałt szukała jakiejkolwiek pracy, zagrożona śmiercią głodową. Nie mniejsza była nędza po wsiach. Liczne powieści opisują niekiedy w sposób frapujący straszliwą sytuację milionów ludzi będących pod wrażeniem grozy owych dni, w których jeden za drugim waliły się główne filary kultury społecznej z przerażającą szybkością **).

Jeszcze gwałtowniejszy był wstrząs, jakiego doznała republika wejmarska; 8 milionów ludzi nie miało pracy, tak że prawie co drugi Niemiec korzystał z opieki społecznej. Nastąpiło gwałtowne załamanie się konsumcji wewnętrznej oraz przemysłu wytwarzającego dobra użytku powszechnego. Na porządku dziennym były mordy kapturowe, zamachy i walki uliczne między uzbrojonymi bojówkami partii politycznych. Dotychczasowy rząd koalicyjny (socjalna demokracja i centrum) musiał ustąpić, a miejsce jego zajął rząd Brüninga z katolickiego centrum, który 8 grudnia 1930 r. ogłosił dekret prezydenta „dla ocalenia życia gospodarczego i finansów oraz dla ochrony pokoju wewnętrznego". Dekret ten zawierał drakońskie zarządzenia w sprawie podwyższenia podatków, redukcji płac, obniżenia stopy procentowej, czynszów, cen, oszczędności w zasiłkach dla bezrobotnych itp. Skutki tych zarządzeń były jednak nikłe. Brüning ustąpił, do władzy doszedł rząd junkrów Papena, który po krótkim czasie ustąpił **generałowi Schleicherowi.** Szczytem tego zamętu było prowokacyjne spalenie Reichstagu, a jego finałem objęcie władzy przez hitleryzm.

Wobec tych wstrząsów gospodarczo-społecznych i politycznych nawet wielu przeciwników marxizmu zdobyło się na obiektywną ocenę sytuacji gospodarczej świata, widząc w niej

Kołobrzeg na Pomorzu Zachodnim; miasto nad morzem bałtyckim, dawniej siedziba biskupstwa, założonego przez Bolesława Chrobrego. Reprodukowany tum gotycki pochodzi z lat około 1300 z tym, że był kilkakrotnie przebudowywany. Stanowi dalszy przykład ceglanej architektury pomorskiej.

*) Dane statystyczne w poniższych rozważaniach pochodzą z: Louis Pommery. Histoire Economique Contemporaine 1800—1939. Paryż, 1945 i Société des Nations. Revue de la situation économique mondiale, Genewa.

*) Brak danych.

**) Np. A. Maurois: Chantiers Americains.

się przejściową niepomyślną koniunkturę, ale kryzys samej struktury ustroju kapitalistycznego. O tym, że ta ocena była trafna, świadczyły zarządzenia i środki, jakich chwycić się musiały poszczególne państwa dla zapobieżenia katastrofie. Zarządzenia te były czymś zupełnie nowym w historii gospodarczej kapitalizmu i wynikami swoimi burzyły fundamenty tego ustroju gospodarczego.

Szczególnie charakterystyczne są ustawy i zarządzenia oraz nowopowołane instytucje gospodarcze w Stanach Zjednoczonych w latach 1932—1939 i obejmowane nazwą New Deal. Głównym ich celem było uniezależnienie produkcji krajowej od rynków zewnętrznych. Tymczasem gospodarka kapitalistyczna dotychczas traktowała rynek wewnętrzny tylko jako odskocznię swej polityki gospodarczej zmierzającej do zdobycia jak najwięcej rynków zewnętrznych Celem podniesienia i ustabilizowania konsumcji krajowej likwidowano bezrobocie za pomocą rozległych robót publicznych, a specjalne kodeksy pracy ustalały minimalną wysokość płac obowiązującą pracodawców. Zarządzenia te były połączone z szeroką ingerencją administracji państwowej w sprawy gospodarcze i zrywały z naczelną zasadą gospodarki kapitalistycznej: laissez faire, laissez passer. Co więcej, przy planowaniu i przeprowadzaniu robót publicznych czynnik państwowy występował jako przedsiębiorca, który potrzebne mu kapitały czerpał z funduszów publicznych. Dla ustabilizowania rynku wewnętrznego i dla ożywienia go administracja państwowa wpływała na równomierne kształtowanie się cen rynkowych za pomocą specjalnych zarządzeń i instytucji. W związku z tym legistatura i sądownictwo w Stanach Zjednoczonych odstąpiły od tradycyjnego zwalczania karteli i trustów w imię nieograniczonej wolnej konkurencji. Odtąd zjednoczenia przemysłu miały zapobiegać fluktuacji cen. Temu celowi miały służyć instytucje, których zadaniem było wykupować i magazynować towary i nie dopuszczać do nadmiernej podaży.

Najbardziej jednak przełomowe były pociągnięcia monetarne. Kapitalistyczna gospodarka opierała się dotąd na pieniądzu kruszcowym o stałej wartości. Odpowiedni podkład złota lub przynajmniej dewiz pełnowartościowych w bankach emisyjnych uważano powszechnie za nieodzowny warunek unormowanej gospodarki narodowej. Funkcjonowanie międzynarodowego handlu było również ściśle zależne od stałości walut krajowych. Obrotów międzynarodowych dokonywano w funtach angielskich, a po pierwszej wojnie światowej także w dolarach. Dlatego Anglia była głównym filarem standardu złota w walucie; wiele krajów opierało swoją walutę krajową na funcie, stanowiąc tak zwany blok szterlingowy. I oto pod koniec roku 1931 Anglia odstępuje od standardu złota. Poczytny dziennik włoski pisał o tym wówczas: „Pieniądz-wzór, na którym jako na bazie opierały się wszystkie tranzakcje handlowe świata i o którego stałej wartości nikt nigdy nie miał cienia wątpliwości, również został wciągnięty w wir konwulsji gospodarczych świata". Stany Zjednoczone poszły wkrótce śladami Anglii i w kwietniu 1933 roku oficjalnie porzuciły standard złota. Niezmiernie charakterystyczne są słowa, którymi Roosewelt to uzasadnił: „Struktura gospodarcza wewnętrznie zdrowa jest dla „prosperity" narodowej czynnikiem ważniejszym aniżeli wartość waluty krajowej w stosunku do walut zagranicznych. Dlatego należy stary fetysz bankierów międzynarodowych zastąpić przez taką walutę, która by miała stałą siłę nabywczą w stosunku do towarów i dóbr współczesnej cywilizacji. Stany Zjednoczone dążą do tego, aby dolar zachował tę samą wartość nabywczą przez cały czas życia współczesnej generacji".

Brak stałej waluty międzynarodowej powoduje zanik handlu zagranicznego. Samowystarczalność gospodarcza stała się hasłem powszechnym, a protekcjonizm — główną metodą jej realizowania. Obok stosowanego dawniej protekcjonizmu celnego, który schodzi na plan dalszy, pojawia się teraz protekcjonizm administracyjny. Rządy poszczególnych krajów ustalają nieprzekraczalne kontyngenty towarów, które mogą być importowane, przy czym rozdziałem tych kontyngentów w kraju zajmuje się albo sama administracja państwowa, albo zjednoczenie importerów i producentów pod kontrolą rządu. Kontyngentowanie staje się począwszy od 1931 roku normalnym i stałym aspektem polityki handlowej. Obok niego i w związku z nim pojawia się zagraniczny handel clearingowo-kompensacyjny, stanowiący zamaskowany nawrót do archaicznej wymiany towarowej, która właściwa była przedkapitalistycznym formom gospodarki. Najbardziej znamienna jest pod tym względem ewolucja, jaką przeszła Anglia. W roku 1833 Manchester rozpoczął słynną krucjatę przeciwko polityce celnej w handlu zagranicznym, szczególnie cłom zbożowym, a za nieograniczoną wolnością handlu międzynarodowego. Prawie 100 lat Anglia konsekwentnie i niezłomnie broniła tez manchesterskich. I oto 15 sierpnia 1931 roku Izba Handlowa w Manchesterze przyjęła wniosek stwierdzający, że „ograniczenie importu jest koniecznością pilną i nakazem chwili, który może być zrealizowany jedynie przez wprowadzenie taryfy celnej". Wybory w październiku tego roku dały znakomitą większość zwolennikom protekcjonizmu gospodarczego. W listopadzie została uchwalona ustawa „o anormalnym imporcie", która nałożyła cła wwozowe na długą listę towarów, a w roku 1932 została uchwalona i wprowadzona w życie ogólna taryfa celna. W ten sposób padł ostatni bastion wolności handlu międzynarodowego.

Wszystkie te drastyczne i fundamentalne pociągnięcia narzuciły kapitalizmowi konieczność wybrnięcia z impasu spowodowanego przez kryzys i uniknięcia w ten sposób katastrofy społecznej. W wyniku dały one nową postać kapitalizmu, **gospodarkę kierowaną**, za którą stał całkowicie lub w dużym stopniu autorytet państwa. O równowadze gospodarczej decydowała nie swobodna gra sił pod postacią podaży i popytu na wolnym rynku, któremu patronuje niekrępowana konkurencja, ale stała organizacja czynników gospodarczych z udziałem administracji państwowej, mniejszym lub większym. Ważną wreszcie cechą gospodarki kierowanej jest jej oparcie o plan gospodarczy w skali państwowej. Do ostatniego kryzysu interwencja państwa w życie gospodarcze ograniczała się do ustawodawstwa społecznego dla ochrony pracy, do walki z przerostami karteli, do upaństwowienia głównych środków lokomocji, do ustanowienia nielicznych monopoli państwowych i do nakładania fragmentarycznych, sporadycznych ceł na import i eksport. Interwencje te mnożą się i sumują; kolidują one niewątpliwie z zasadami kapitalizmu, ale ich nie kasują. Interwencja w latach 1929—1939 składa się z tak wielu i tak fundamentalnych aktów gospodarczych, że przekształca ona całą strukturę kapitalizmu, wbrew pierwotnym intencjom jej inicjatorów. Mamy tu typowy przykład nagłego przekształcenia się drobnych różnic ilościowych w zmiany jakościowe, jak tego uczy logika dialektyczna. W gospodarce kierowanej niewątpliwie zarysowuje się wyraźna tendencja do zmiany stosunków własnościowych, własność prywatna mianowicie kurczy się na rzecz państwa i społeczeństwa. Ale tym tendencjom do nacjonalizacji i socjalizacji życia gospodarczego przeciwstawiają się siły zmierzające do odwrócenia biegu rozwoju w kierunku czystego kapitalizmu.

Toteż pod wpływem tych wewnętrznych sprzeczności gospodarka kierowana w latach przedwojennych była pełna zamętu. Charakterystyczną jej cechą była ogromna niestałość stosunków. W maju 1937 r. wskaźnik światowej produkcji przemysłowej wynosił 108 (1929 = 100); w rok później spadł on do 88. W roku 1937 światowa produkcja stali osiąga 135 milionów ton; w r. 1938 tylko 106 milionów ton. Inną cechę gospodarki kierowanej stanowi zanik handlu międzynarodowego i związana z tym dezintegracja gospodarki światowej. Dezintegracja ta spowodowała, że rozwój stosunków gospodarczych w tym samym roku był zgoła odmienny w każdym kraju; w jednym kwitła ta sama gałąź gospodarstwa, która w innym przechodziła ostre przesilenie. W przededniu wybuchu drugiej wojny światowej wymiana międzynarodowa tak bardzo się skurczyła i przyjęła takie swoiste formy, że nie było już stałej gospodarki międzynarodowej w tym sensie, jak ją rozumiano w 1914 r.

Ogólna produkcja światowa wprawdzie się podniosła i osiągnęła z powrotem stan z 1929 r., a nawet go przekroczyła w niektórych gałęziach, szczególnie żelaza, stali i aluminium, ale jednocześnie wydolność aparatu wytwórczego przewyższała znacznie faktyczną produkcję; znaczna część aparatu wytwórczego nie była eksploatowana z powodu braku zbytu. Ale świat był bardzo daleki od sytości. Dla zamknięcia tzw. nożyc tj. rozpiętości cen między artykułami przemysłowymi a artykułami rolniczymi na niekorzyść rolniczych, przystąpiły Stany Zjednoczone do ograniczania produkcji podstawowych wytworów rolniczych, aby w ten sposób podnieść ich cenę rynkową. Powołana do tego celu instytucja (Agricultural Adjustement Administration) ofiarowała premie odszkodowawcze rolnikom, którzy redukowali uprawę i pozostawiali ziemię odłogiem. Zawierała ona w tym celu formalne umowy z producentami zboża, bawełny, tytoniu, kukurydzy, nierogacizny itp. W prasie amerykańskiej można było podówczas czytać takie np. ogłoszenie: „Możecie się wzbogacić bez wysiłku. Kupcie 13 arów ziemi pod chów nierogacizny. Następnie zawrzyjcie z rządem umowę, że rezygnujecie z hodowli, powiedzmy, 500 sztuk nierogacizny. Rząd wypłaci wam za to odpowiednią ilość dolarów jako odszkodowanie".

Ale ograniczanie produkcji nie wystarczało, trzeba było przystąpić do systematycznego niszczenia gotowych produktów. Na wielką skalę ułożyła i przeprowadziła plan deskrukcji — Brazylia. W 1929—30 r. zbiory kawy w Brazylii osiągnęły rekordową ilość przeszło 30 milionów worków. W stosunku do światowej konsumcji kawy było 15 milionów worków za dużo. Dla podtrzymania ceny rynkowej kawy rząd Brazylii od wielu lat zakupywał i magazynował nadprodukcję za pośrednictwem specjalnie do tego ustanowionego Instytutu Obrony Kawy. W 1930 r. Instytut wykupił blisko 17 milionów worków, na co musiał zaciągnąć pożyczkę zagraniczną w wysokości 20 milionów funtów. Ale od 1931 r. system zakupywania i magazynowania nadprodukcji okazał się niewystarczający. Powołano Radę Narodową Kawy, która zainicjowała nową politykę kawową. Była to polityka z nieprawdziwego zdarzenia. Wobec niemożności magazynowania ogromnych ilości kawy ułożono plan systematycznego niszczenia. 19 czerwca 1931 r. przejdzie do historii niewątpliwie jako curiosum. Dnia tego zainaugurowano z wielką pompą zniszczenia: w obecności przedstawicieli rządu i dziennikarzy... niszczono kawę ogniem i wodą, przez spalanie i przez topienie. W 1931 r. zniszczono w ten sposób blisko 3 miliony worków, w 1932 r. przeszło — 9 milionów, w 1933 r. — 14 milionów worków, razem w trzech latach zniszczono blisko 26 milionów worków, czyli tyle, ile wynosi roczna konsumcja kawy na całym świecie. W jednym tylko roku 1937 Brazylia zniszczyła przeszło milion ton kawy, a 31 grudnia 1939 r. ilość kawy zniszczonej osiągnęła 68 milionów worków. Ale tych zniszczeń ciągle było za mało, w ciągu bowiem 10 lat od 1930 do 1939 r. produkcja kawy przewyższyła konsumcję o 82 miliony worków. Przy produkowaniu niszczonej kawy i przy samym procesie niszczenia zatrudnionych było co rok w Brazylii 200 tysięcy ludzi... Ograniczanie produkcji i systematyczne niszczenie produktów było zjawiskiem pospolitym, choć nie zawsze występowało w tak ostrych formach i na tak szeroką skalę jak w przykładach wyżej przytoczonych.

Jeżeli chodzi o bezrobocie, to w 1928 r. ciągle jeszcze 11,4% ogółu pracowników nie miało zatrudnienia. W tym roku było w Stanach Zjednoczonych około 10 milionów bezrobotnych, a w Anglii 1,500.000. Nawet w 1939 r., mimo znacznej poprawy w dziedzinie produkcji, w St. Zjednoczonych było 7 milionów bezrobotnych. Proces produkcji w żaden sposób nie mógł wchłonąć ani bezrobotnych, ani przyrostu naturalnego. Sytuacja nawet zaostrzała się, pojawiła się i rozszerzała się nowa forma bezrobocia tzw. technologicznego; pod tą nazwą rozumiano pracowników, którzy tracili pracę jako zbyteczni w wyniku postępu techniki i racjonalizacji metod pracy.

Takie oto były osiągnięcia neokapitalistycznej gospodarki kierowanej. Jej reformy, które godziły w same fundamenty ustroju kapitalistycznego, niewątpliwie złagodziły ostrość kryzysu i zapobiegły grożącemu rozkładowi społeczeństwa. Ale kryzysu nie przezwyciężyły, przeszedł on tylko w stan chroniczny. Reformy te bowiem niesłychanie skomplikowały wzajemne stosunki między poszczególnymi dziedzinami życia gospodarczego i ogólny stosunek ekonomiki do innych dziedzin kultury. Nigdy jeszcze w dziejach nie ujawniły się tak dobitnie i tak ostro wewnętrzne sprzeczności gospodarki i kultury w ogóle, jak w tym krótkim okresie (1930—1939) neokapitalistycznej gospodarki kierowanej.

Dla podniesienia zdolności konsumcyjnej ludności wiejskiej trzeba było podnieść ceny produktów rolnych przez ograniczenie produkcji i niszczenie gotowych wytworów. Ale podniesienie cen produktów rolnych obniżało siłą faktu zdolność konsumcyjną szerokich mas miejskich, które wszak są głównym konsumentem w krajach wysoko uprzemysłowionych.

Dla wciągnięcia milionów bezrobotnych do procesu produkcji i normalnej konsumcji trzeba było rozbudować przemysł. Ale jak go rozbudowywać, skoro już istniejące warsztaty pracy miały znacznie większą wydolność produkcyjną aniżeli faktyczną produkcję.

Przez modernizację techniki wytwarzania i racjonalizację metod pracy można było obniżyć koszty produkcji przemysłowej i w ten sposób zewrzeć tzw. nożyce cen produktów przemysłowych i produktów rolnych. Ale modernizacja i racjonalizacja zmniejszały zapotrzebowanie na ręce robocze i pomnażały masę bezrobotną.

Należyte ułożenie stosunków między konsumcją a produkcją — najbardziej fundamentalny problem każdej racjonalnej gospodarki — wymagało szerokiej i intensywnej współpracy międzynarodowej. Ale polityka gospodarcza neokapitalizmu doprowadziła do nieznanego dotąd w historii nacjonalizmu gospodarczego i do całkowitej dezintegracji wspólnoty gospodarczej świata, która była wynikiem rozwoju kapitalizmu w wiekach nowożytnych.

Różnorodność pod względem bogactw naturalnych i możliwości produkcyjnych wymagała podziału wytwórczości w skali światowej między poszczególne kraje. Ale najmniejsze nawet państewko, mając bardzo skromne zasoby przyrodzone, prowadziło politykę samowystarczalności gospodarczej.

Nierówny przyrost naturalny i różna gęstość zaludnienia oraz zróżnicowanie możności zatrudnienia w poszczególnych państwach domagały się swobodnego ruchu ludności. Ale każde państwo zamykało się hermetycznie chińskim murem ostrych ograniczeń imigracyjnych. W jednych krajach, historycznie młodych, leżały odłogiem rozległe obszary z ogromnymi możliwościami gospodarczymi i o rzadkim zaludnieniu, w innych krajach o starej kulturze istniało nadmierne zagęszczenie ludności ze wszystkimi jego skutkami.

W niektórych krajach niszczono nadmiar produkcji i przeprowadzano sterylizację gospodarczą przy pomocy specjalnych ustaw i instytucji, a w innych standard życia był tak niski, że graniczył z niedożywianiem a nawet z głodem w dosłownym znaczeniu. Odkrywano nowe bogactwa i wynajdywano nowe nieznane możliwości ich eksploatacji, a jednocześnie był na świecie nadmiar pracowników umysłowych i fizycznych. W jednych krajach sprawdzał się tradycyjny maltuzjanizm, który głosił, że ludzkość za prędko się rozmnaża w stosunku do możliwości wyżywienia się. W innych faktem stał się maltuzjanizm à rebours: miały one za duże bogactwa naturalne i za wielkie możliwości wytwórcze w stosunku do potrzeb człowieka...

Wszędzie wzrosło uświadomienie polityczne szerokich mas, ale równocześnie gospodarka kierowana w niespotykanym dotąd stopniu sprzyjała rozwojowi karteli i trustów, które skupiwszy w swych rękach ogrom bogactw zdobywały decydujący wpływ na życie polityczne narodów. Demokracja upodobniła się do stosunków monetarnych, które wprowadziły gospodarki kierowane: była walutą bez pokrycia. Urzeczywistniła się przewidywana przez marxizm sprzeczność między formalnymi uprawnieniami politycznymi szerokich mas a faktyczną, zamaskowaną władzą cienkiej warstwy potentatów przemysłowych i magnatów bankowych.

Cała kultura zachodnia, której niezwykłe osiągnięcia w dziedzinie nauki, techniki i bogactw były słusznym tytułem dumy ludzkości, znalazła się w ślepej ulicy przed zatarasowaniem, które było dziełem neokapitalistycznej gospodarki kierowanej. Sprzeczności przez nią zaostrzone, lub świeżo wytworzone, parły do gwałtownego rozwiązania. Z zamętu kulturalno-gospodarczego wyłonił się rychło podział świata na dwa obozy, w jednym znalazły się kraje — have, posiadające, w drugim — kraje — have not, „proletariackie", jak mówił faszyzm. Tzw. państwa osi od razu weszły na drogę zbrojeń. Najkonsekwentniej i najbrutalniej zarazem uczyniła to III Rzesza. Jako drugiej potędze w świecie przypadła jej główna rola herostratowa w gigantycznym dziele burzenia kultury. W ślad państw osi gospodarka kierowana we wszystkich innych krajach przeobrażała się mniej lub więcej szybko w gospodarkę wojenną. Lata, które poprzedziły pierwszą wojnę światową, były okresem zbrojnego „pokoju". 10-lecie, które poprzedziło drugą wojnę światową, było okresem „pokojowego" rozboju.

Jaka będzie droga kapitalizmu po drugiej wojnie światowej? W 1939 r. powiedział Stalin, że nie można jednocześnie produkować garnków i karabinów maszynowych. Losy podrastającego pokolenia będą zależały od tego, czy ludzkość będzie mogła produkować garnki, czy też będzie musiała wytwarzać karabiny maszynowe.

St. A. Majewski

NAGRODA LITERACKA »ODRODZENIA«

W numerze 40 »Odrodzenia« zawiadomiliśmy, że Spółdzielnia Wydawnicza »Czytelnik« pragnąc przyczynić się do ożywienia twórczości literackiej ustanowiła

coroczną nagrodę »Odrodzenia« w wysokości

100.000 zł.

Nagrodę tę przyznawać się będzie każdego roku w dniu 22 lipca, dniu święta Odrodzenia Polski, za najwybitniejszy tom prozy (powieść, opowiadania, krytyka, wspomnienia) ogłoszony drukiem po 1 września 1939 r. (bez względu na wydawcę) lub nadesłany w rękopisie na ręce jury do dnia 1 maja każdego roku. Skład jury będzie podawany do wiadomości corocznie 1 maja.

MARIAN PROMIŃSKI

Toreador i mściciel*)

I. RUDOLPH SCHÄTZKE

Major Rudi Schätzke pisze w swej kwaterze przy lotnisku N. list do p. Elizy Lemsdorf w Innsbrucku.

Za oknem wybuchają od czasu do czasu spazmatyczne ryki maszyn, na które lotnik nie zwraca uwagi W bryczesach, wysokich butach i rozpiętej koszuli — siedzi przy kulawym stole wśród resztek śniadania, napoczętej butelki z wódką, map sztabowych i porozrzucanych paczek z papierosami. Przygląda się bezwiednie pięknej muskulaturze swoich przedramion wspartych o krawędź stołu, wykręca w kółko napięstki, aż natrafia znowu na myśl poszukiwaną i nachyla się nad papierem.

List od początku brzmi jak następuje:

Dnia 10 lipca 194... r.

Liebste Liese!

Tym razem mogę trochę obszerniej i swobodnie napisać o sobie, bo list przekazuję Ci przez Hansa, który ma dzisiaj wieczorem odjechać na urlop. Nie wyobrażasz sobie, jak bardzo chciałbym być na jego miejscu. Zobaczyć naszę stare kochane mieścisko, móc usiąść z Tobą wieczorem przy lampie, ująć Cię za obie dłonie i rozmawiać, długo, długo rozmawiać, zrzucić to wszystko z siebie, co mnie miesiącami obrasta tu na froncie. Mimo wszystko, co nam się zarzuca, uchodzimy przecież za sentymentalnych, zwłaszcza my — Austriacy, i tak jest w istocie

Muszę Ci donieść, że z tego co obserwuję — nie mam zbytnich powodów do optymizmu. Wiem co się pisze, ale to funta kłaków nie warte. Już za długo zwyciężamy, a ostatecznego zwycięstwa nie widać. Takie chroniczne zwycięstwa na coraz węższym odcinku — pachną mi strategiczną porażką. Przede wszystkim Rosjanie coraz lepiej latają, to muszę przyznać, i coraz jest ich więcej. Tam, gdzie dawniej wystarczał jasny plan, podyktowany taktyczną przewagą i trochę brawury, dzisiaj trzeba niemało zimnej krwi i przebiegłości, by ujść z całą skórą. Przy tym mnie osobiście dzieją się rzeczy, które uważam za krzywdę. Bez przechwałek mogę powiedzieć, że należę do najlepszych lotników w Rzeszy, z moimi 187 zwycięstwami. Właściwie mam przed sobą tylko Graafa i mój „Eichenlaub" muszę dostać; inna rzecz, że to będzie dla mnie tylko sportowa nagroda, i oni to w dowództwie jakoś wyczuwają. Nie wiem czy dlatego, że jestem za skąpy w wypowiedziach, czy ktoś mi — wyrażając się obrazowo — „maluje diabła na ścianie" za moimi plecami. Fakt jest, że to niesłychane, by przy mojej randze i odznaczeniach używać mnie do lotów obserwacyjnych, wprawdzie bardzo ważnych i trudnych, ale wyraźnie grających na nerwach każdemu rasowemu myśliwcowi. Nie masz pojęcia, jak ja nie cierpię artylerii przeciwlotniczej. Nie lubię walczyć z tym ukrytym i na pozór ślepym przeciwnikiem, który trafia raz na sto, ale którego samemu nie można wziąć na cel. Ja lubię latać w osłonie, prowadzić eskadry, mieć szansę, tymczasem tak wygląda, że ci panowie w sztabie nie mogą mi użyczyć mego „wieńca". I dzisiaj znowu (od trzech tygodni bez zmian) muszę wykonać żmudny lot na zaplecze wroga. Powiadam Ci — praca fotoreportera.

Ale dosyć o tym. Pamiętam Twoje słowa — marzenia na „po wojnie", że chciałabyś ze swym Rudi i z parką Christian und Charlotte (czy któraś para narzeczonych myśli inaczej niż o dwojgu dzieci?) odbywać przejażdżki z naszej fabryczki na Landsgut, na podwieczorek, rybołóstwo, spacer w alei. A więc pilnuj mego wózka, Lizo, żeby go nie zarekwirowano, chociaż... po wojnie będę mógł mieć inny, z demobilu. Raczej — pilnuj spraw naszych serc i proś Boga, by mi nie policzył kadzi krwi, którą wylałem, i stosu czaszek rozsianych od Bugu po Don, i tam we Francji, bielejących czaszek, których nigdy z bliska nie widziałem i nie chcę oglądać, chociaż grzechocą czasem w moich snach przed lotem. Ach, Lizo, na okropną drogę wstąpiłem i nie wiem, czy jeszcze kiedyś będę tym dawnym Rudi. Mam 31 lat i czuję się bardzo stary.

Tyle sobie obiecywałem napisać, a tu wychodzą spod pióra same skargi i ogólniki. Ale tak właśnie wygląda dusza oficera lotnictwa w negliżu.. Trzeba się golić, ubierać i przejrzeć trasę lotu. A zatem bądź zdrowa, całuję Cię mocno, mocno —

Twój Rudi

Oczekuję listu od Ciebie przez Hansa. Trochę ryzykuję z tym listem, gdyby się Hansowi stało co złego po drodze.. ale niech tam! Do moich rodziców napiszę po południu.

Zaadresował kopertę, złożył arkusz w czworo do środka i niezaklejoną oparł o butelkę na stole. Po czym podniósł się, jednym długim krokiem stanął przed staroświeckim „tremo" z lustrem, przy oknie, i wyzbierawszy przybory z szuflady począł się pedantycznie golić. Od czasu do czasu przychylał głowę w bok, by zobaczyć przez górną kwaterę, co się dzieje na lotnisku. — Wysoki, smagły Tyrolczyk, o ciemnych włosach, przerzedzonych nad czołem, długim cienkim nosie i wąskich oczach z połyskliwej laki. Stanowczość w podbródku, jeśli to ma jakieś znaczenie.

— „Stuka" są na linii startu, trzy eskadry, ostatnie samochody podwożą bomby. Ciekawym, kto poprowadzi: Weinsberg czy Klemke? Karlchen znów zaczyna harce ze swoją maszyną — szofer zas...y. Swoją drogą trzeba by i w mojej sprawdzić dopływ oliwy. Idzie Hans.

Do kwatery wtoczył się gruby porucznik, zasapany, bo było gorąco, o pyskach jak kafle. Spod czapki obnażył ponowek księżyca — nieopaloną skórę, i powyżej włosy — rdzawe druty, każdy w inną stronę.

— Wie geht's?

— Dziękuję. Jedziesz?

— Naturalnie, że jadę. Już mam papiery. — Z nad kupra przesunął torbę. — Aa, twój list.

— Czekaj, jeszcze może coś dopiszę. Zresztą po południu chciałem ci dać „Grus an die Eltern".

— Na, schön, Rudi. Martwisz się? Co ci znowu dali? Dworce?

— Mam ich wszystkich w d.... — powiedział Schätzke spokojnie, od lustra, sprawdzając wygolenie prawego policzka. — Dobry oficer jest marszałkiem na posterunku gefrajtra, jak mówi stary v. Busch... Ty, Hannerl, nie zapomnij mi kupić fajki, takiej jak lubię, ze wszystkimi szykanami, w swojej przegryzłem ustnik.

— Z pianki, z wolimi oczkami, Bruyère?

— Właśnie. Hannerl, poczęstuj się — dodał, widząc że tamten sadowi się bokiem przy stole i spoziera na butelkę. — Ja już piłem.

W chwili gdy Hans zabrał się do obrządku bulgocząc płynem w szklance, w sieni rozległ się trzask butów, pukanie, „Heil ...!", wpadł sierżant Malz z księgą doręczeń. Schätzke machinalnie podpisał i został z niebieską olakowaną kopertą w ręce, kiedy — po trzasku obcasów — Malz znowu wybiegł na pole.

Schätzke nerwowo rozdarł kopertę, upadła, rozłożył arkusz; Hans łyknął wódki i spojrzał, co tak Rudi długo czyta: trzy wiersze pisma maszynowego, widocznie pod światło.

— No?

— Zmiana decyzji. Prowadzę eskadrę na Rostów.

— Sakranochamol!

— Ale! o 10-tej 45 minut, o pół godziny wcześniej. Która teraz, gdzie moje mapy?

Otarł policzki z resztek mydła i rzucił się do stołu. Mapy są. List.

— Weź go w każdym razie. Czekaj, dopiszę. — Wyjął arkusz i wzdłuż marginesu drżącą ręką: „Zmiana decyzji. Prowadzę eskadrę na Rostów". — Tak. Teraz już idź.

— Na, brav Rudi, nie potrzebujesz się gorączkować. A więc...

Stuk obcasów, uścisk dłoni. Wyszedł.

Schätzke usiadł do telefonu: mechanika natychmiast! Zdjął bluzę z krzesła i już spokojnie dopinał przed lustrem. Była bez dystynkcji, tylko pod szyją jaśniała wielka rozeta: Ritterkreuz zum Eisernen Kreuz mit Schwertern und Brillanten. Podszedł bliżej, wyprostowany, przez pięć sekund wpatrywał się w iskry swojej chwały, z podniesioną głową. Potem odpiął krzyż i schował do futerału w walizie.

Wszedł mechanik Schulze.

— Messerschmidt w porządku?

— Tak jest.

— Oliwa?

— Dopływa jak złoto. Z gazem ostrożnie. Daje ostrą kontrę.

— Prowadzę na Rostów. Bak 3/4.

— Tak jest, panie majorze.

Rozległo się ujadanie jednej baterii. Schätzke pchnął okno.

— Obserwator, już jest nad nami. Tem-po, Tem-po, mein Lieber, an die Reihe. Za dużo maszyn na polu, będziemy ich mieć w pół drogi naprzeciw.

Zbierał z krzeseł pasy, torby... Mechanik zwlekał z wyjściem.

— Ja, Herr Major. Passen Sie auf! Das Wetter ist heute zu schön. Die russischen Flugzeuge...

— Vor den russischen Flugzeugen hab' ich keine Angst, die sind ja so... plump. — Nalał sobie pół szklanki wódki i wypił jak wodę. Ruchem palców wskazał, by Schulze zrobił to samo. — Und wenn doch... — dorzucił ciszej — 'bin ja nur... ein Torrero. — Wypowiadając to upewnił się tylko, że trafia w dawno poszukiwane słowo. Poczuł się najemnikiem szukającym poklasku. „Eichenlaub"... Jak się do niego dochodzi? Zapewne — tak samo złodziej żyjący w społeczeństwie złodziei za największą chwałę uważa dobre rozprucie kasy. Trochę przykre takie odkrycie prawie u szczytu sławy i na dziesięć minut przed lotem, ale ponieważ doszedł do tego sam, starczyło, by poczuć się „sprawiedliwym" w Sodomie.

Spojrzał na Schulzego, czy nie powiedział za wiele, ale ponieważ twarz mechanika zajętego sznapsem nic nie wyrażała, uśmiechnięty wyszedł pierwszy, długim elastycznym krokiem — na pole.

II. IWAN SEMIONOWICZ PODLASZENKO

Na sowieckim lotnisku nr 11 było od wczesnego ranka ogłoszone pogotowie, o czym w równych odstępach czasu oznajmiały głośniki.

W kantynie zebrało się kilkunastu oficerów, którzy od piwa do piwa, od stolika do stolika, ciągnąc swoje „sumki" — rozmową, żartami, grą w szachy — wypełniali denerwujący czas oczekiwania. Były wśród nich trzy młode kobiety przydzielone do formacji w charakterze podoficerów łącznikowych. W ich towarzystwie właśnie, między Nataszą a Zoją, a naprzeciw Maruszki — siedział starszy lejtenant Iwan Semionowicz Podlaszenko. Kobiety go strasznie lubiły, nie dlatego żeby był piękny (był raczej brzydki) — niski, atletycznej budowy, z nieforemną głową i śmiesznym kartoflem zamiast nosa (tylko oczy miał śliczne, jasne, otwarte — oczy dziecka). Lubiły go, gdyż był pocieszny, skory do żartów, do uścisków, ale nie brutalny.

— No i co z nami będzie? — ciągnie go Zoja za rękę wpartą w kieszeń spodni, tak, że zaczynają się chwiać w poprzek na ławie — kiedy pójdziemy do Zagsu?

— A ja, a ja, o mnie nie zapomnij, diadia Wania — piskliwa Natasza ciągnie go w swoją stronę. Nazywają go „diadią" (wujkiem), choć ma zaledwie dwadzieścia dziewięć lat.

Nad nimi unosi się opar z piwa, dymu i zgiełk innych zmieszanych głosów.

Maruszka siedzi przedzielona stołem, najschludniej ubrana i najładniejsza z nich, nie bierze udziału w żartach, ale wpatruje się w Wanię z życzliwym zainteresowaniem, na jakie mogą się zdobyć tylko oczy kobiety. W pewnej chwili decyduje się, mimo bardzo niesprzyjających warunków, na takie wyznanie:

— Wania, lubi mienia.

W jej głosie jest taka przekonywająca, równa siła, że może wyrażać tylko proste, prawdziwe: kochaj mnie.

Podlaszenko spoważniał, iskra śmiechu w jego oczach zetlała w wyraz skupienia. Uwolnił ręce z uścisków Zoji i Nataszy i wsparłszy się o stół powiedział:

— Maruszka, eti, kotorych ja lubił... wsie pogibli. — Jeszcze mu coś drżało na ustach (Maruszka była zajęta strzepywaniem okruchów ze spódnicy), gdy rozległ się głos megafonu nad piecem i syki uciszające na sali.

— „Wnimanie! Formacja niemiecka — bombowców 81, myśliwców 54 — zbliża się do linii frontu. Kierunek z południowego zachodu na północny wschód. Pułap 5000 m. Zarządza się alarm dla lotniska nr 12, pogotowie dla lotniska nr 11 trwa".

Po zebranych przeszedł szmer ulgi.

Podlaszenko podniósł się z ławy, okrążył stół (teraz było widać, że trochę utyka) i biorąc Maruszkę za rękę pociągnął ją do stolika w kącie. Nie sprzeciwiała się

— Prosti moju grubost', Maruszka. Dwa stakana piwa! — krzyknął w stronę bufetu. — Jeśli cię to nie znudzi, opowiem o sobie, a wtedy mnie zrozumiesz.

— No, słucham — a twarz, wsparta na dłoni, wyrażała życzliwą uwagę. Któryś z oficerów chciał się przysiąść na stołku okrakiem, ale mu dała znak ręką, by sobie poszedł.

— Pewno wiesz, że jestem studentem inżynierii z Moskwy, a pochodzę z Białorusi, z wioski Koziary koło Mińska, gdzie moi rodzice i dziadowie byli rolnikami. Rewolucja przeszła, a w ich życiu niewiele się zmieniło, jak wiadomo, los małych rolników w małej wiosce na Białorusi. Ale Koziary są piękne, osobliwie — jest tam jezioro o czystej krystalicznej wodzie. Gdy przyjdziesz nad jego brzeg latem, o tej porze, i staniesz pod wysokim niebem z obłoków i wsłuchasz się w plusk ryb w wietrznym mokrym powietrzu i w szum bąków w łozach, ogarnia cię taki spokój, taka wielka radość z życia, taka moc, że zdaje ci się — jeden wysiłek — a przeskoczysz jezioro, choć jezioro jest wielkie, ledwie drugi brzeg widać. Pamiętam, żeśmy nieraz z bratem Seriożą po nim pływali. Bywało, podejdzie do mnie, chwyci mnie za ramię: — Wania — mówi — popłyniemy na drugi brzeg. — Nie dam rady, miły ty mój. — Serioża się śmieje. — To ci pomogę, głupi, kiedy zesłabniesz. — A trzeba ci było widzieć mego Seriożę (miałby teraz lat — 24), o głowę wyższy ode mnie, silny był jak tur, i dobry, o, lepszy ode mnie. ...Płyniemy. W połowie czuję, że mi mięśnie mdleją, ale nic nie mówię, tylko pewno pryskam falą jak mors, który się dusi. Serioża już jest pode mną i niesie mnie, niesie. Ej, bratiszka moj Serioża!

Wania umiaczał szerokie usta w piwie, aż mu piana podeszła pod nos. Otarł pianę.

— ...Ale, po porządku. Otóż w 41 roku miałem ich jeszcze wszystkich: dwoje staruszków, Seriożę i najmłodszego Wołodię, lat jedenaście. To, co ci opowiem, od niego wiem, od Wołodi, który widział wszystko i przeżył. Było to zaraz po wybuchu wojny, jeszcze front od Mińska był daleko, a głuche nasze Koziary ledwie o wojnie wiedziały. Ja byłem wówczas tankistą i formowałem się w Moskwie, a Serioża, który zaciągnął się do artylerii, był stacjonowany niedaleko naszej wsi i jeszcze przyjechał do domu powiedzieć batkom: — bądźcie zdrowi — przed wymarszem.

Tego dnia po południu słychać było obcą maszynę nad lasem i pewnie musiała przymusowo lądować. Nikt się tam jednak nad tym nie zastanawiał, by — co jest proste — wyszli z niej Niemcy. Oni jednak do wsi przyszli, w piątkę, obsada bombowca, z pistoletami w garściach, z granatami u pasa, do pierwszej z brzegu chaty, do mojej. A tam, tak jak my tu teraz siedzimy: moi staruszkowie, Serioża rozparty w krześle, z nogami na pół izby, a na piecu za kupą wełniaków śpi Wołodia.

— Hände hoch!

Serioża się poderwał. Był jednak bez broni, jedyny jego pistolet wisiał na szaragach o dobre trzy metry i już go od niego przegradzało dwóch Niemców.

Oficer zmarszczył się widząc ruskiego żołnierza i zaczął coś ostro wykrzykiwać, czego

*) Nowela wyróżniona na konkursie Związku Zawodowego Literatów Polskich w Krakowie.

MALARSTWO POLSKIE

PIOTR MICHAŁOWSKI (1800—1855) Don Kichot

rozbudzony Wołodia naturalnie nie pojął. Może im o wodę chodziło, może o żywność, może o pomoc w transporcie; Wołodia mówił, że tylko rozrzucał lufą rewolweru na prawo i lewo i głową wskazywał tamtym na Seriożę, by go brali na bok. To wszystko trwało może trzy minuty i jakby wreszcie nic nie potrzebowali, tylko przyszli po prostu zabijać. A byliby wszystkiego dostali, czy mleka, czy sera, czy masła, i puszka z benzyną stała w komorze. Nikt ich nie rozumiał, a obecność Serioży przypieczętowała sprawę.

Wiem, że Serioża był bardzo bystry i chyży jak jeleń. Gdyby miał ułamek szansy, byłby powalił któregoś z nich i wyskoczył z izby. Nie byłby zabił, był na to za silny, by musiał kogoś zabijać, gdy go chciał obezwładnić, ale byłby się uratował. Zanim się jednak spostrzegli — trach-trach! — czaszka ojca, czaszka matki — w drebiezgi po ścianach. Serioża rzucił się z rykiem, ale już dostał serię w żołądek, zwinął się i upadł z łomotem ciężkiego wora kartofli.

Niemcy wyszli cicho jak duchy, zanim Wołodia, oniemiały za górą odzieży, zdołał zapłakać. Potem już do nikogo we wsi nie poszli, a za kwadrans było słychać ich maszynę huczącą nad lasem, nie mieli chyba poważnego defektu, odlecieli zrobiwszy swoje. I po co oni to zrobili? Nie byli to gestapowcy, może nie byli to nawet SS-mani, to byli tylko lotnicy, to byli tylko... Niemcy.

— Napij się — przerwała mu Maruszka — bo ci wyschło w gardle, i przygładź sobie włosy, lepią ci się od potu.

— A tak. — Przyssał się do szklanki i cedził smakowicie do spodu.

W tej chwili odezwał się znowu megafon znad pieca:

— „Wnimanie! Formacja niemiecka zmieniła trasę lotu pod kątem 90 stopni na południowy wschód, kierunek Rostów. Pułap pozostaje ten sam 5000 m. Odwołuje się alarm dla lotniska nr 12, zarządza się alarm dla lotniska nr 11".

W sali nastała kurczowa cisza. Potem głośnik chrząknął i głos inny, jakby bliższy, oznajmił:

— „Załogi B4, B5, B6 na start, załogi B4, B5, B6 na start!"

Rumor odsuwanych stołków — lotnicy poczęli wybiegać. Wania się ocknął.

— No, przerwali nam. Może ci potem dokończę.

Powstał, obciągnął na sobie mundur, z jednej kieszeni wyciągnął furażerkę i ulepił na głowie, z drugiej manierkę z wódką, spokojnie odkręcił główicę, nalał sobie po brzegi i wypił jak wodę. Nikogo już nie było na sali.

— Bywaj...! — powiedział do dziewczyny i odszedł nie podając ręki.

— Wracaj zdrowy — wyjrzała za nim przez okno. Najpierw szedł utykając, a potem zaczął podbiegać w chmurę pyłu i szutru, wzbijaną dziesiątkami nóg. „Sumka" skakała mu śmiesznie po szerokich biodrach.

III. WALKA

Major Schätzke, odsuwając palcem nausznik hauby, poprawił sobie słuchawki, kątem oka sprawdził wysokościomierz: 5300, odraportował to do mikrofonu (wciąż nimi kierowało lotnisko) i przyjął rozkaz obniżenia lotu — już tylko 35 kilometrów do celu; analogiczny rozkaz dostał dowódca samolotów bombardujących. Schätzke odrzucił wstecz głowę i w dół: równy ciąg krzyży (bombowce) na tle zamazanej mapy ziemi z pęcherzykami obłoków. Myśliwskie szły w kluczach, powyżej. Potem lunetą wypunktował horyzont. Jak dotąd wszystko dobrze.

Starszy lejtenant Podlaszenko szedł na szpicy swojej ósemki. Sprawdził wysokościomierz, wskazówka posuwała się od 3500—4000 m (wciąż bierzemy wysokość), na chwilę usunął słuchawkę z ucha, żeby wysłuchać równego buczenia swego motoru. W porządku. Potem znowu wypatrywanie.

— „Lewy horyzont górny" — mówi informator. — Są! Ciemne punkty, jakby bez ruchu zawieszone w mgle oddalenia.

Prawie równocześnie 11 dziewiątek wychyla swoje aparaty lekko w lewo i pnie się w górę.

Schätzke dostrzegł nieprzyjacielskie maszyny o pół minuty później, nie zboczył z kierunku, tylko zwiększył chyżość; bąki rosną, rosną, rosną. Powietrze napełnia się rykiem groźby i trwogi. Coraz bliżej, bliżej, wyraźniej.

Podlaszenko odlicza sobie po rzędzie swój najbliższy cel, niemieckie armatki pokładowe otwierają ogień — puf-puf-puf, miesza się trzask mitraliez. Ich eskadra myśliwska, jak pływacy skaczący z trampoliny, rzuca się w dół lotem nurkowym.

Następuje zwarcie, w którym na pozór wszystko jest chaotyczne; lotnik z nogą na gazie, z jedną ręką na sterach a drugą na manetce karabinu, z wybłyskami obcych skrzydeł i motorów w oczach, nie wie, kiedy ma ziemię pod nogami a kiedy leży na plecach, w pojedynkę na trzech, w trzech na jednego, rozkrzyżowany, bolesny, z pokąsanymi wargami. Potem linia boju zaczyna się wydłużać i wszystko staje się jaśniejsze.

Sowieckie myśliwce dały się związać w walce i większość niemieckich bombowców przeszła mniej więcej równo, jak rekiny prujące za słabe oka sieci. Ale już kilkanaście wolnych sowieckich maszyn zawraca i pięć aparatów „Stuka" staje w płomieniach i spada.

Podlaszenko przejechał śmiertelnie pierwszy upatrzony bombowiec, notując w myśli 23-cie swoje zwycięstwo, i znalazł się — mając po bokach dwa własne aparaty — naprzeciw piątki niemieckiej, rozrzuconej, dwa poniżej a trzy znacznie powyżej niego. Oczekując ataku z góry, wolał sam zaatakować jeden aparat w dole. Tamten jednak zdołał uniknąć jego serii i z kolei ostrzelał Podlaszenkę, kiedy po pikowaniu — beczką wychodził w górę Bez skutku. Wyrównując lot Podlaszenko spodziewał się znaleźć na tyłach górnej trójki. Z trzech aparatów pozostał tylko jeden, ponieważ dwa pikowały już na sowieckie maszyny w dole. Jeszcze nie zdołał się zbliżyć do strzału, kiedy lotnik niemiecki wykonał fenomenalnie krótką pętlę w dół i podchodząc mu od podwozia, rąbnął krótką serię, którą Podlaszenko poczuł w kadłubie swojej maszyny. Niemiec wyszedł spod lewego skrzydła i jeszcze się ostrzeliwał do tyłu. To był Schätzke. Poszedł za nim potok kul, zdaje się za nisko.

Samolot Podlaszenki Schätzke zapamiętał z pierwszych sekund boju: był trochę bledszy. Ale mając w pierwszej minucie dwa zwycięstwa, nie chciał się już wdawać w pojedynki, tylko podążać za grupą, by znowu wyjść na czoło. Pościg mu w tym przeszkodził. Messerschmidt był może szybszy z natury, ale Podlaszenko wyciskał ze swojej maszyny wszystko. Wobec tego, że odległość między nimi się ustaliła, a Sowiet znowu zaczął siać, Schätzke zrobił pół okrężenia i z boku warknął kilkakroć — w próżnię. — To jest jednak doskonały pilot — uznał.

Serie Podlaszenki były więcej wytrzymane, tylko Niemca jakby kule się nie imały. Dążył do zwarcia, ale tamten uchylał się, trzymał go na dystans. Wreszcie raz ze źle obliczonych pierścieni przejechał się nad Messerschmidtem, za szybko, w tempie błyskawicy.

— Na! Der Kerl wäre zum Rammsturz *) fähig! — zaklął Schätzke, poczuwszy łoskot nad głową.

Wyszli od siebie w łukach i Podlaszenko znowu pakuje się na wprost, aparat Niemca leży mu jak na dłoni. W rosnącym grzmocie maszyn, w ostatniej sekundzie Messerschmidt wywinął się pętlą w górę, odsłaniając swój spód — jakby brzuch ryby głębinowej; Podlaszenko przeleciał mu pod sterami i z kolei on poczuł szum skrzydeł za sobą, Niemca, lecącego na plecach. Sam nie mógł strzelać w tej pozycji, ale tamten mógł i... nie strzelał. Szum zelżał, i po raz drugi w tej walce Niemiec chciał się wycofać, uchodził skośnie w dół.

Upokorzenie, zawód, oburzenie? — czy wszystko razem — Podlaszenko rzucił się za nim.

*) Umyślne zderzenie, samobójcze.

Szkło i zegary w kabinie Schätzkego wyprysły pod serią od tyłu. Tylko jeden może wyjść żywy z tej walki, albo żaden z nich! Podlaszenko przypierał go — choć przestrzeń była nieograniczona — jakby do ściany. Tylko wydobyć się z nacisku, tylko wyjść na wprost! Wiraż w dół, w bok — znalazł swój moment, teraz on posłał swoją pierwszą długą morderczą serię. Potem wspiął maszynę, poszła z rykiem w górę. Obejrzał się za siebie, w dół. Aparat sowiecki wybuchnął jak krwawa piwonia i przysnuł się dymem. Schätzke wstrząsnął głową i zaśmiał się.

Podlaszenko, objęty płomieniami, użył gaśnicy, cofnął się ze stołka, wciągnął drzwiczki; wessał go prąd zimnego powietrza, potem — rana w lewym barku — stracił przytomność.

Schätzke wyszedłszy w górę — stwierdził, że nie panuje nad swoim aparatem, z wszystkich sterów tylko jedna lotka była sprawna. Puścił motor na pełne obroty — zatoczył krąg, zaczął szarpać stery —. drugi krąg, węższy, w dół. Pracował solidnie jak szofer, pot perlisty wystąpił mu pod okularami i na szpicu nosa. Jeszcze przed paru sekundami był czas wyskoczyć, teraz maszyna jest w pierwszych skrętach korkociągu; ryczy jakby wołała o pomoc i spada nachylona pionowo. Jeszcze — zanim zaczęła się obracać — Schätzke dojrzał rozwinięty spadochron: pęcherzyk w powietrzu. — Tamten chłopiec zdołał się uratować — pomyślał — a ja ginę, Lizo. — Machinalnie zamknął gaz i zakrył oczy rękawem. Po skrzydłach szedł werbel powietrza — dziwne jak blacha dudni.

Do gabinetu kierowniczki n-tego szpitala polowego w Rostowie weszła sierżant Maria Stefanowna Klimowna i zapytała, czy tu leży starszy lejtenant Iwan Semionowicz Podlaszenko, chciałaby go zobaczyć.

— Tak. A wy kto? Siostra, żona, przyjatnica?

Maria zmieszała się trochę.

— Nie, nie siostra, nie żona, może... przyjatnica.

Kierowniczka oglądała ją przez chwilę.

— No idźcie. — Sprawdziła w kartotece, kazała siostrze zaprowadzić: 4-ta sala, piąte łóżko.

Maria wróciła jeszcze do stołu.

— Ciężko ranny?

— Nie, nie bardzo. Przestrzelony bark, poparzenia i potłuczenia.

Na sali — 5-te łóżko — ktoś leży obandażowany, oczy ma odsłonięte.

— Wania, ty mnie poznajesz?

— No pewnie, że cię poznaję, Maruszka, przecież nie mam gorączki. Usiądź sobie.

— Cieszę się, że żyjesz. U nas wszyscy wiedzą, że zestrzeliłeś dwóch Niemców, i że z tym drugim psem miałeś ciężką walkę.

Wania nic się nie odezwał.

— No, a ty się nie cieszysz?

Wania, po chwili:

— Maruszka, miałem ci dokończyć moje opowiadanie, które nam wtedy przerwano... na lotnisku. Tylko usiądź bliżej. Nie mogę głośno mówić. Twarz mnie piecze i bandaż przeszkadza.

Usiadła na łóżku. Pół minuty się namyślał.

— Wiesz... po śmierci mego brata, po wymordowaniu mojej rodziny, postanowiłem wstąpić do lotnictwa. Ponieważ byłem zdrowy i przygotowanie techniczne miałem, przyjęto mnie. Postanowiłem się mścić, to jasne. Postanowiłem... odszukać zabójcę mego brata Serioży. To znaczy — nie jego, bo nie wiem kto on, i może już i tak ziemię dawno gryzie, ale takiego, ale takich. I wiesz, często znajduję. Wiesz, bo morderców się poznaje. Ale to nie jest prosta sprawa i nie wiem, czy mnie pojmiesz. Wyobraź sobie, że jesteś w śmiertelnym niebezpieczeństwie i twój los spoczywa w rękach drugiego człowieka, właśnie... wroga. Ja to dobrze przemyślałem, bo mam teraz wiele czasu... Wówczas — patrz mu w oczy, nie potrzebujesz żebrać, ale patrz mu w oczy tak, żeby cię widział na wskróś; wtedy masz kilka sekund, w których pozwoli ci się wymknąć, jeśli nie jest mordercą. Wtedy ratuj się kłamstwem, albo ucieczką — to zależy od sytuacji. Gdy ten moment przegapisz, sprawy już pójdą swoim tokiem i jesteś zgubiona. Zabójca mego brata nie dał mu tej szansy, dlatego jest mordercą. Ale ten lotnik, z którym ja walczyłem, nie był psem i to nie był zabójca mego brata. Wiesz... w walce, w sytuacji bardzo dla mnie krytycznej — nie strzelał, a mógł strzelać, chciał mi podarować życie, chociaż nie widział nawet moich oczu, widział tylko mój samolot prowadzony ręką rozpaczy...

Wania zastanowił się chwilę zanim podjął przerwany wątek.

— ...Dla ojczyzny naturalnie dobrze zrobiłem, bo to był wielki lotnik, lepszy ode mnie, i niebezpieczny gracz, byłby jeszcze wielu naszych lotczyków zestrzelił, ale to nie on, ja nie jego szukałem... Czy ty mnie rozumiesz, Maruszka?

Wcisnęła kułak w prawe i lewe oko, ocierając skąpą, żołnierską łzę, zanim odpowiedziała.

— Tak, zdaje mi się, że cię rozumiem... dladia Wania.

Marian Promiński

Z POEZJI AMERYKAŃSKIEJ

WITTER BYNNER

Walt Whitman

Ktoś powiedział, że Walt Whitman
nie żyje.
Nieprawda: żyje
tak samo jak ja żyję! Gdy podnoszę głowę,
on podnosi głowę. Gdy jego usta mówią,
mówią i moje. Gdy jego krzesło
rusza się samo w Camden, ja w nim siedzę; widzę,
jak dłoń starzeje się a prawda rośnie coraz nowa...
Cieszę się, głosząc i słysząc wszędzie,
że on we mnie i we świecie całym
nie umrze nigdy
i że ja i w świecie i w nim, w każdym pokoleniu,
na nowo wznosić będę głowę.

EDWIN CURRAN

Kolorowe wzgórza Arizony

Wszystkie tęcze pomieszane leżą na tych wzgórzach.
Wszystkie zorze rozproszone widać u podnóża.
Szczyty te schwyciły błyskawice w jej przelocie
i ukradły niebu barwy co lśnią w dnie i noce. —
Teraz świecą słońcem i gwiazdami. Każde wzgórze
błyszczy w błękicie i w czerni i w purpurze.
Barwne róże przeświecają przez marmurów ściany,
zewnątrz wyrzeźbione kolorowe drzewostany. —
Róże i fijołki po nich siecią tętnic płyną
i kurtyną brylantową wiszą nad doliną.
Wał wzgórz, skała i granity, światła i klejnoty
wznoszą się jak rampa, góra z błyskawicy złotej.

MICHAEL GOLD

Dziwny pogrzeb w Braddock

(Wiersz ten opowiada dzieje Jana Klepaka, robotnika-emigranta, zabitego podczas pracy w hucie stali).

Troje rozmyślających przeżywa dziwne myśli na cmentarzu.

„Upiję się i zostanę pijany na zawsze, nie poślubię nigdy kobiety i nie będę nigdy ojcem uśmiechniętych dzieci.

Zapomnę wszystkiego: Nie będę niczym. Życie to wstrętna komedia, tak jak ten pogrzeb Jana".

Tak myśli jeden z przyjaciół na cmentarzu wonnym od drzew, podczas kiedy żóraw przenosi trzy tony stali mieszczącej ciało Jana Klepaka.

(Słuchajcie uderzeń werbla na tym dziwnym pogrzebie w USA).

„Będę praczką, będę czyściła podłogi, zostanę tanią ulicznicą, ale dzieci me nigdy nie będą pracowały w hucie stali".

Tak myśli żona Jana Klepaka w chwili, kiedy ludzie przysypują ziemią wielką trumnę ze stali w słońcu wiosny w przepięknej pogodzie kwietnia.

(Słuchajcie uderzeń werbla na tym dziwnym pogrzebie w USA).

„Zamienię się w stal twardą, twardszą niźli ta tutaj oto. Pewnego dnia przyjdę i zrobię kulę z ciała Jana Klepaka i strzelę nią w serce tyrana".

Tak myśli drugi przyjaciel słuchający werbla. Ten zrozumiał smutny werbel pogrzebu w USA, kto zrozumiał kazanie na dziwnym pogrzebie amerykańskim, kto zakipiał szałem jak kocioł piekieł mający pękniętą dźwignię.

(Słuchajcie smutnego werbla na dziwnym pogrzebie,
Słuchajcie kazania na dziwnym pogrzebie w USA").

przełożył **Stanisław Helsztyński**

TADEUSZ HOŁUJ

PRÓBA OGNIA

POWIEŚĆ

SZR. 280 ZŁ. 140.—

DO NABYCIA
WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA
„CZYTELNIK"

LEONARD PODHORSKI-OKOŁÓW

Czy nie koniec bałamutnej legendy?

Mickiewicz i pani Sobańska *)

Pokutują jeszcze w skarbcu naszej wiedzy o Mickiewiczu liczne legendy, które dla dobrego chociażby imienia historii literatury, jako dyscypliny naukowej, należałoby stamtąd co najrychlej usunąć. Puszczone w obieg z czyjejś, trudnej nieraz do ustalenia, lekkiej ręki, początkowo zazwyczaj w formie jedynie przypuszczenia czy domysłu, zatracają stopniowo hipotetyczny swój charakter i uzyskują pełne prawo obywatelstwa, już jako pewniki, na łamach najpoważniejszych prac naukowych. Stamtąd, w rezultacie niedostatecznej dozy krytycyzmu albo wskutek tak częstej, niestety, niechęci do czynienia samodzielnych poszukiwań, przedostają się żywcem do komentowanych wydań pism poety oraz do jego biografij, jak również do rozpraw, studiów i podręczników szkolnych, szerząc bałamutne, a nieraz i zgoła fałszywe fakty i tezy, i stanowiąc często punkt wyjścia dla bardzo nieraz obszernych i na pozór przekonywających wywodów (jako typowy przykład służyć może studium A. Fei o rzekomo do p. Sobańskiej skierowanym wierszu Mickiewicza „Do D D. — Elegia", drukowane na parę lat przed wojną w „Przeglądzie Współczesnym").

Do rzędu takich legend należy na przykład rzekome kolegowanie Mickiewicza z braćmi Maryli, jako uzasadnienie pierwszego jego przyjazdu do Tuhanowicz, jakkolwiek księgi szkolne mówią, że ani Michał, ani Józef Wereszczakowie nie kształcili się ani w Nowogródku, ani w Wilnie, natomiast z „Notatek pamiętnikarskich" Tomasza Zana wiadomo, że to on kolegował z nimi, ale w gimnazjum mińskim.

Podobnież ma się rzecz i z osławionym „bogactwem" Wawrzyńca Puttkamera, jako głównym rzekomo powodem wywieranego na Marylę ze strony jej rodziny nacisku, żeby oddała jemu swą rękę. A przecież w rzeczywistości to raczej Puttkamer usiłował był zażegnać grożącą mu ruinę majątkową przy pomocy jej posagu (40 000 złp.!), zaraz nazajutrz po ślubie, skwapliwie kwitując jego odbiór przed sądami nowogródzkimi.

Legendą również jest niezmiernie rozpowszechnione i przez nikogo niemal nie kwestionowane twierdzenie, że za pierwowzór Soplicowa służył autorowi „Pana Tadeusza" znany każdemu z wielokrotnych reprodukcji dwór czombrowski, gdy tymczasem w świetle danych faktycznych całe podobieństwo ogranicza się do kilku szczegółów zaczerpniętych z zajazdu na zaścianki (nie na dwór!) czombrowskie i zużytkowanych w opisie zajazdu soplicowskiego.

Jedną wreszcie z najbardziej bałamutnych legend zdaje się być usankcjonowany autorytetem największych powag naukowych pogląd, według którego dominujące jakoby stanowisko w sercu i w twórczości Mickiewicza w okresie odesko-krymskim zajmować miała p. Sobańska.

Kto dał początek tej wersji — nie wiemy. Być może, istniały przed półwiekiem jakieś miejscowe, czy też rodzinne tradycje o ich bliskich stosunkach więcej niż przyjacielskiej natury. Być może również, że tradycjom tym nadał rozgłosu Aër (A. Rzążewski) swym studium „Mickiewicz w Odessie" („Opowiadania i studia", t. I, Poznań, 1885). Dość, że w końcu poczęto twierdzić, jakoby to pani Sobańska była owym zagadkowym ideałem odeskim Mickiewicza ukrytym pod inicjałami „D. D." i że to do niej skierowane były bodaj czy nie najpiękniejsze perły jego liryki miłosnej.

Aby przypomnieć, jak wyglądała ta sprawa przed laty dwudziestu, pozwolimy sobie zacytować objaśnienie, którym opatrzony został wiersz zatytułowany „Do D. D." w jednym z komentowanych wydań pism poety: „Kogo oznaczają te litery, tak często pojawiające się w odeskiej erotyce Mickiewicza, dotąd nie ustalono. Zdaniem prof. Bruchnalskiego (wyd. Tow. lit. im. A. M., Lwów, 1900, str. 11), oznaczają one zawsze Karolinę Sobańską, niepodzielnie panującą w nowej jego poezji miłosnej. Mają one być początkowymi literami włoskich słów w polskiej pisowni: D(onna) D(żiowanna), którym to imieniem, przejętym „prawdopodobnie pod wpływem Giovanny w **Vita Nuova** Dantego", nazywał Mickiewicz p. Sobańską. Prof. Kallenbach, wychodząc z założenia, że p. Zaleska miała na imię Joanna, jak tego dowodzi dedykacja **Konrada Wallenroda** — a więc po włosku Giovanna (= Dżiowanna), mniema, że imię to jej tylko poeta nadawał. Trafnej tej na pozór hipotezie zaprzecza sonet pt. **Jastrząb**, zwrócony niewątpliwie do p. K. Sobańskiej, której poeta wyraźnie to imię nadaje: „On jest gościem, Giovanno". „Zostawiając tedy tę kwestię nierozstrzygniętą" — czytamy dalej w objaśnieniu — „zaznaczamy, że w ogóle były trzy kobiety, których wspomnienie silniej z pobytem Mickiewicza w Odessie się splotło i które w większej lub mniejszej mierze uczestniczyły w sercowych przeżyciach poety. Są nimi: Karolina z Rzewuskich Sobańska, Bonawenturowa Zaleska i hr. Guriew". Mimo tego zastrzeżenia o nierozstrzyganiu omawianej kwestii, komentator przesądza ją na rzecz p. Sobańskiej pisząc dalej: „Wiersz **Do D. D.** ukazał się po raz pierwszy w r. 1829 w wydaniu petersburskim. Rozpoczyna on szereg utworów poświęconych p. Sobańskiej i maluje od razu charakter uczucia, jakie w sercu poety wzbudziła" („Bibl. Nar.", ser. I, nr 66).

Jaki wpływ i jaki zasięg mają tego rodzaju sugestie, świadczyć może fakt, że i A. Nowaczyński, pisząc o p. Sobańskiej i o jej stosunku do Mickiewicza, bez żadnych zastrzeżeń traktuje wspomniany sonet „Jastrząb" jako utwór związany z tym właśnie stosunkiem.

Głównym jednak powodem takiego stanu rzeczy zdaje się być lekkomyślnie, bodaj czy nie przez Władysława Mickiewicza, w obieg puszczona — a jak wszystko zdaje się na to wskazywać — błędna informacja, jakoby jeden z najpiękniejszych i najtkliwszych wierszy miłosnych poety, „Do D. D. — Elegia", miał być przez Mickiewicza wpisany do albumu p. Karoliny, a co za tym idzie i jej poświęcony. Taka informacja mogła oczywiście stać się dla niejednego źródłem przekonania, że istotnie p. Sobańska była tą wybranką serca poety, która potrafiła wydobyć ze strun jego lutni tak subtelne i tak głębokie tony. Chodzi tylko o to, że zarówno owa informacja jak i cała, z niej głównie wysnuta wersja o wielkiej rzekomo jego miłości do królowej salonów odeskich zdają się być, przy bliższym badaniu, najczystszej wody — fikcją.

Chcąc ustalić prawdziwe oblicze omawianego stosunku, trzeba sobie odpowiedzieć na następujące pytania: czy z punktu widzenia czysto ludzkiego i wziąwszy pod uwagę wszystko to, co wiemy o Karolinie Sobańskiej, da się przypuścić, aby Mickiewicz mógł był żywić dla niej przypisywane mu powszechnie uczucia, i czy wiersz „Do D. D. — Elegia" istotnie był przez poetę wpisany do jej albumu.

Czym była i co reprezentowała sobą p. Sobańska, tego szczegółowo nie wiemy. Ale i to, co o niej dotychczas wiadomo, pozwala na odtworzenie dostatecznie wyrazistego jej wizerunku. W okresie znajomości z Mickiewiczem miała ona — i jako kobieta i jako Polka — zdecydowanie niekorzystną opinię. Mimo iż, jak się zdaje, żyła już wówczas w separacji z mężem swym, Hieronimem Sobańskim, jej całkowicie jawny stosunek z gen. Wittem spotkał się z napiętnowaniem — tak przez Polaków, jak i przez wyższe sfery miejscowego społeczeństwa rosyjskiego — i spowodował, że drzwi wielu domów i salonów odeskich zamknęły się przed nią, a tam, gdzie ją z tych czy innych względów przyjmowano, narażona była niejednokrotnie na pełne pogardy spojrzenia, na drwiące uśmiechy, wymowne szepty i przejrzyste docinki, jak i na inne szykany, do niepodawania ręki podobno włącznie. Że uważano ją powszechnie za kochankę generała, tego dowodzi choćby list poety Tumańskiego do Puszkina z r. 1828, w którym ten donosi między innymi, że znany Puszkinowi dobrze bogacz odeski Ryznicz ożenił się z siostrą „kochanki Witta" („Wittowoj ljubownicy").

Ale nie tylko o tę obrazę moralności publicznej miano do niej pretensje ze strony polskiej. Ciążyły na niej zarzuty i o wiele poważniejszej natury.

Wiadomo, jaką rolę miał sobie wyznaczoną gen. Witt w prowincjach południowych. Przysłał go tu sam cesarz Aleksander w celu węszenia roboty konspiratorskiej członków tajnych organizacji. Głośny dekabrysta, ks. Sergiusz Wołkoński, na balu w Odessie, w czasie karnawału 1825 roku, uprzedzał przybocznego lekarza hr. Woroncowa, dr. Roberta Lee (Anglika), że hrabia Witt jest szpiegiem Aleksandra I. Wolno więc przypuszczać, że fakt ten był mieszkańcom Odessy dobrze znany.

Hr. Witt dysponował w swej niecnej robocie całym sztabem szpicli, wśród których pierwsze bodaj skrzypce grał osławiony Boszniak, dobrze Mickiewiczowi znany i niejednokrotnie przezeń wspominany. Owóż posądzano p. Sobańską o to, że i ona, z miłości do Witta czy też z innych jakichś względów, również dostarcza generałowi poufnych informacji. Znaleziony w archiwum tajnym i opublikowany na parę lat przed wojną jej list z okresu popowstaniowego do szefa żandarmerii carskiej, A. Benkendorfa, pozwala mniemać, iż posądzenia te w znacznej mierze były słuszne. Nie wygląda jednak na to, aby w tej jej, bynajmniej nie zaszczytnej, współpracy z całym tym towarzystwem kryć się miał jakiś wallenrodyzm, jakieś wykorzystanie uprzywilejowanego stanowiska na rzecz sprawy narodowej. Bo to, co na usprawiedliwienie tej „przyjaciółki" hr. Witta przytaczają niektórzy pamiętnikarze, jak na przykład J. Andrzejewski („Ramoty starego Detiuka o Wołyniu"), T. Bobrowski i A. Iwanowski (Heleniusz Eu...), twierdząc, że Sobańska „do Warszawy zaraz po skończonej rewolucji przybyła, gdy Witt był tam gubernatorem, wyjednała przez niego uwolnienie zupełne i powrót swobodny do kraju wielu osobom, stąd powszechnie ją kochano. Była miła i dobra, do niej można było zastosować: „wszystko jej przebaczono, bo wiele kochała" — wygląda raczej na jakąś późniejszą zmianę jej usposobienia, czy na chęć bodaj częściowego zmazania win dawnych, a nawet może na próby wybielenia przez rodzinę jej zaszarganej opinii, niż na przejaw bezinteresownego patriotyzmu czy chociażby wrodzonej skłonności do czynienia dobra, które to przymioty musiałyby już znaleźć swój wyraz i w jej działalności z czasów pobytu Mickiewicza w Odessie.

Wszystko to musiało być na pewno dobrze poecie znane. Boszniaka sam, jak wiadomo, przejrzał na wylot, a o hr. Witcie, o Karolinie Sobańskiej i o pozostałych współpracownikach musiano go niewątpliwie poinformować nie gorzej niż wspomnianego dr Lee. Nie darmo w „Konfederatach barskich", gdzie p. Sobańska figuruje jako „Hrabina — kobieta trzydziestoletnia, piękna i wytworna", Starosta mówiąc o niej oburza się: „I nałożnica rosyjskiego generała. Dać szlachcie polskiej stać pokornie dwie godziny u drzwi jakiejś faworyty!", a Stary Szlachcic informuje zebranych: „Mówią, że wojewoda nie posiada się z gniewu z powodu prowadzenia się swej córki, że zabiłby ją, gdyby nie obawa przed gubernatorem", i dodaje: „Moskal! — i córka krakowskiego wojewody!". A burmistrz, mając na myśli Generał-Gubernatora, to znaczy — Witta, wtrąca: „Mówią, że żeni się z hrabiną; wierzę bardzo, wdówka tak majętna, taka piękna. Co ja mówię wdowa — coś znacznie lepszego, bo rozwódka". I relacja Miecznika: „(Hrabina) nic dla was nie zrobi. — Wracam wprost od wojewody. Źle ją tam przyjęto. Wojewoda, jej rodzony ojciec, nie odezwał się do niej ani słowem. Damy polskie odwracały się do niej plecami, stroiły miny. Dostała spazmów. Generał — wściekły", — to echo odeskich jeszcze wspomnień poety.

Wreszcie, w usta Hrabiego Adolfa, brata Hrabiny, to jest faktycznie jednego z towarzyszy podróży krymskiej Mickiewicza i przyszłego autora „Pamiątek Soplicy" i „Listopada", hr. Henryka Rzewuskiego, kładzie poeta słowa: „Nasi krewniacy nagadali ojcu wiele złego o tobie. Wyznam ci, że ja sam byłem tymi wiadomościami jak oszołomiony".

Co się tyczy gen. Witta, to nie miał on miru ani w sferach wojskowych jako zdecydowany tchórz i karierowicz, ani wśród mieszkańców Odessy, ani też w gronie innych miejscowych dostojników, jako człowiek głupi i małej wartości moralnej. Jedynie pewnej kategorii kobiet mógł był imponować swą postawą i męską urodą południowca. I w takim to „mężczyźnie" kochała się na zabój rzekoma bogdanka odeska Mickiewicza, rzekoma następczyni Maryli.

A ów wybraniec jej serca? Jakiż był jego stosunek do p. Karoliny?

Oddajmy znowu głos pamiętnikarzowi: „Rodzona siostra Protowej Potockiej" — czytamy u Heleniusza — „Lubomirska z domu, córka ks. Kaspra, żona szlachetnego brygadiera Walewskiego, rozwiodła się i zaślubiła generała Witta. Karolina z Rzewuskich Sobańska opuściła męża, generał Witt, który Walewską rozwiódł, w niej się zakochał i ją zaślubić solennie przyrzekł. Po wielu latach, oczekującą na próżno spełnienia słowa, opuścił i zniewolił do zaślubienia swego adiutanta Czerkowicza, podrzędnej figury, brzydkiej postaci... Hieronim Sobański, nieskończenie rozżalony, że go opuściła, zawsze ją kochający, dla jedynej córki uczynił znaczne bardzo zapisy... Córkę Karolina wykradła i wydała ją za ks. Sapiehę".

Dodajmy, dla pełniejszego podmalowania środowiska, w jakim obracała się p. Sobańska, charakterystyczną wypowiedź znanego ugodowca a krewnego jej, smutnej pamięci marszałka mińskiego, Leona Osztorpa, który pisząc w swym rękopiśmiennym pamiętniku o zamiarze p. Karoliny wyjścia za mąż za hr. Witta, dodaje: „Wszyscy byśmy jej tego bardzo życzyli". Jak widzimy, towarzystwo było i liczne i dobrane.

Może nas nie dziwić zbytnio fakt, że w środowisku tym obracał się i nasz poeta. Wiemy, iż czasem niezbyt oględnie dobierał sobie przyjaciół, że zdarzało mu się przyjaźnić z osobami, które zgoła na to nie zasługiwały. „Kochany Tadeuszu", czytamy w nagłówkach jego listów do Bułharyna, którego Puszkin i wielu innych, nie bez powodu, uważali za „skończonego łajdaka", i który, jak to niedawno stwierdzono, również współpracował ze sztabem carskich szpicli. Zupełnie również byłoby zrozumiałe istnienie między Mickiewiczem a p. Sobańską, z lekka może nawet uczuciowo zabarwionego, fizycznego stosunku, jak i może posługiwanie się przez poetę przyjaźnią z nią i z jej możnym protektorem jako osłoną, jako niezmiernie wygodną pozycją

*) Por. „‚Łudziłem despotę...' Mickiewicz a dekabryści" w nr 65 „Odrodzenia".

MALARSTWO FRANCUSKIE

GUSTAVE COURBET (1819—1877)

Drwal

dla prowadzenia jakiejś działalności konspiracyjnej.

Ale żeby miał on żywić dla tej „kochanki Witta" jakieś głębsze, a tym bardziej — wszystko sobą zasłaniające uczucia, żeby przypuszczać, że to do niej skierowane były żywe, serdeczną krwią pulsujące słowa jego liryków odeskich, liryków, pod względem siły i głębi, pod względem potencjału emocjonalnego, jeśli nie przewyższających, to co najmniej równych najtęższym ustępom „spowiedzi" Gustawa w „Dziadów części IV" — wszystko to sprawia raczej wrażenie wniosków całkiem nieprawdopodobnych i zbyt pośpiesznie wysnutych.

Ale czym w takim razie objaśnić fakt figurowania owej „Elegii" w sztambuchu niedoszłej „pani generałowej Wittowej"?

Otóż w tym właśnie sęk, że przy bliższym zbadaniu, o które nikt się jakoś dotychczas nie pokusił, okazuje się, iż nie ma właściwie żadnych podstaw do twierdzenia, jakoby wiersz ten, będący zdaje się głównym źródłem legendy, miał być wpisany przez Mickiewicza do jej albumu.

Strona bowiem faktyczna przedstawia się jak następuje. Gdzieś około roku 1885 Władysław Mickiewicz gromadząc szczegóły do biografii ojca, zwrócił się do przebywającej w Paryżu p. Sobańskiej, wówczas już p. Lacroix, z prośbą o użyczenie mu posiadanych przez nią ewentualnie autografów Mickiewicza. P. Lacroix odpowiedziała, aby zwrócił się w tej sprawie do brata jej, gen. Adama Rzewuskiego, zamieszkałego wtenczas bodaj czy nie w Wierzchowni, dawniejszej siedzibie Hańskich, u którego miała zostawić wszystkie swe papiery. Rzewuski doniósł synowi poety, że stan jego (Rzewuskiego) wzroku utrudnia mu bardzo stosowne poszukiwania i że znalazł jedynie jedną stronicę pisma poety, którą załącza. Była to właśnie owa, w wyżej wspomnianym wydawnictwie „Wisła" reprodukowana, a dziś w Muzeum Mickiewicza w Paryżu przechowywana kartka, wyrwana z jakiegoś albumu i zawierająca autograf wiersza, który Wł. Mickiewicz określa jako „zaczynający kartkę od samej góry i robiący wrażenie dalszego ciągu" i wyraża przy tym wątpliwość, czy początek wiersza będzie kiedyś odnaleziony („Adam Mickiewicz, sa vie et son oevre", Paris, 1888, str. 70). Jak wiadomo, jest to fragment końcowy (recte — druga połowa) naszej „Elegii", przy tym w redakcji dość znacznie różniącej się zarówno od brzmienia drugiego, znanego nam autografu tego samego utworu, pochodzącego z tzw. „Albumu Moszyńskiego", jak i od redakcji drukowanej. Według zgodnego zdaje się zdania specjalistów, z dwu rękopiśmiennych redakcji tekst omawianej kartki jest późniejszego pochodzenia. Zaznaczmy również, że jak wynika z opisu naszej kartki albumowej w katalogu „Muzeum Mickiewicza" złączona ona jest z drugą, z tego samego albumu pochodzącą kartą, na której jakaś inna ręka wypisała znany Mickiewiczowy wiersz, wpisany przezeń na wyjezdnym z Wilna do imionnika L. Mackiewiczówny, przyszłej Aleksandrowej Chodźkowej.

Otóż zacznijmy od tego, że album Karoliny Sobańskiej jest nam o tyle o ile znany. Widział go w r. 1840 Kraszewski i tak o nim pisze: „Oglądałem u pani Chirkowitz(!)... zbiór ciekawy autografów; całe listy Chateaubrianda, Pitta, Wellingtona, Lawatera, Delphiny Gay, p. Staël, Puszkina, Mickiewicza, Felińskiego, pani Krüdner itd. Wiersz Puszkina umyślnie napisany" („Wspomnienia Odessy", Wilno, 1843, str. 229—30). Gdyby więc w tym czy w innym jakimś albumie p. Sobańskiej lub w ogóle w jej posiadaniu był wówczas omawiany autograf poety, nie omieszkałaby ona z pewnością pokazać go Kraszewskiemu. Tymczasem wspomina on wyraźnie tylko o **liście** (listach) Mickiewicza i o **wierszu** Puszkina. Stąd wolno wnosić, że nasza kartka z albumu dostała się do rąk p. Karoliny dopiero po roku 1840 i to w charakterze autografu wyrwanego z jakiegoś obcego albumu i nabytego, bądź też otrzymanego przez nią w darze, jako jeszcze jeden nabytek do zbioru. Zresztą, gdyby „Elegia" wpisana była przez Mickiewicza do innego jakiegoś jej albumu, gen. Rzewuski nie byłby z pewnością go niszczył przez wyrwanie dwu kartek; a nawet gdyby tak uczynił, nie wyrywałby i nie przysyłał synowi poety połowy autografu wraz z kawałkiem jakiejś obcej pisaniny, lecz raczej posłałby mu cały autograf „Elegii".

Album z autografami, który oglądał był Kraszewski, dochował się do naszych czasów i przed wojną znajdował się w zbiorach Wszechukraińskiego Muzeum Narodowego w Kijowie. Z racji wspomnianego wiersza Puszkina („Czto w imieni tiebie majom?") został on opisany przez W. M. Bazylewicza w nr 18—20 wydawnictwa radzieckiego „Litieraturnoje Nasledstwo". Dowiadujemy się stamtąd, że zawarte w albumie autografy nie były wpisywane przez autorów bezpośrednio na jego stronice, lecz figurując na różnego formatu, rodzaju i pochodzenia kartkach, naklejane były na jego karty. Nie był więc to żaden sztambuch, do którego przyjaciółki i przyjaciele wpisywać się mieli na wieczną swych uczuć pamiątkę, lecz po prostu zbiór przygodnych autografów. Zresztą już sam zespół nazwisk zdaje się wskazywać na to samo.

Gdyby nawet zostało udowodnione, że reprodukowany w „Wiśle" autograf pochodzi z jakiegoś sztambuchu p. Sobańskiej, to i tak założenie podstawowe zwalczanej przez nas legendy nie dałoby się utrzymać. Inskrypcje imionnikowe i sztambuchowe poety, a znamy ich przeszło dwadzieścia, z reguły były przezeń podpisywane i opatrywane miejscem oraz datą wpisu, zgodnie zresztą z ogólnie przyjętym zwyczajem. Takie same więc zakończenie miałby niewątpliwie i nasz autograf, gdyby chodziło o utwór p. Karolinie poświęcony i do jej sztambuchu wpisany. Tymczasem w rzeczywistości pod ostatnim wierszem „Elegii" Mickiewicz napisał jedynie słowo: „Koniec", i postawił kropkę. Zupełnie tak, jak to na przykład czynił w rękopisach „Dziadów cz. III" i „Pana Tadeusza", zaznaczając w ten sposób zakończenie danej partii treściowej czy też księgi. Mniemany więc zapis dedykacyjny zdaje się być niczym innym, jak tylko zwykłą, zmienioną w stosunku do brzmienia w „Albumie Moszyńskiego" i dla własnego użytku do jakiegoś, nieznanego nam bliżej „pugilaresu" podręcznego poety wpisaną redakcją, być może do druku właśnie przygotowywanego utworu.

Mielibyśmy tedy jeszcze jeden dowód braku szczęścia u p. Karoliny do jej komentatorów. Jak wiadomo, przez długie lata znany wiersz Mickiewicza „W imionniku K. R.", skierowany, jak to niedawno stwierdzono, do oficera gwardii carskiej, Konstantego Rdułtowskiego i do stosunków z nim poety w czasie pobytu w Petersburgu nawiązujący, mimo wyraźnej wzmianki o lśniącym „pancerzu" uchodził był za utwór, również jej poświęcony. Drogą oczywistego naginania faktów do powziętego raz przekonania wytłumaczono sobie inicjały „K. R." a nie „K. S.", jako litery początkowe jej imienia i panieńskiego (w dwa lata po okresie odeskim!) nazwiska, a sam wiersz traktowano jako erotyk! „Wedle słusznego mniemania prof. Bruchnalskiego" — czytamy w komentarzu cytowanego już raz wydania, — „w wierszu tym wyraziło się rozwiązanie kilkomiesięcznego stosunku poety z K. S., a nie, jak przypuszczał prof. Tretiak, nawiązanie. Niezbitym dowodem jest analogia między tym wierszem a niewydanym przez poetę sonetem krymskim **Jastrząb**, wyraźnie do p. Sobańskiej skierowanym. Tu (w. 5—6) i tam (w. 9—11) powtarza się ten sam obraz ich wzajemnego stosunku (Bruchnalski, l. c., str. 429). Samo jednak cierpkie zakończenie niniejszego wiersza, z ironicznym zapewnieniem: „Ty mnie szukać nie będziesz, ja ciebie nie mogę", stwierdza, że musiał on poprzedzić bezpośrednie zerwanie".

Śmiać się chce i płakać, czytając takie dowolne i naciągane interpretacje naukowe. A cóż dopiero, gdy się widzi, jak w dwa lata po ustaleniu i po opublikowaniu przez prof. Pigonia prawdziwego adresata tego wiersza, prof. Kleiner w „Dziejach Gustawa" długo i wnikliwie rozwodzi się nad subtelnościami uczuciowymi tego, w dalszym ciągu przezeń jako do p. Sobańskiej odnoszący się erotyk traktowanego utworu.

Równie niefortunna okazała się na ogół wysunięta na parę lat przed wojną przez znaną puszkinistkę radziecką Zengier hipoteza, jakoby nasza „kochanka Witta" miała być ową „jedyną", utajoną miłością Puszkina.

Obecnie nadszedł czas, aby zdetronizować ją i ze stanowiska adresatki wiersza „Do D. D. — Elegia", a co zatem idzie i wszystkich innych, tymi samymi inicjałami opatrzonych, liryków poety.

I z wielu innych względów p. Sobańska nie wygląda na bohaterkę wyjątkowo głębokich i wyjątkowo subtelnych miłosnych przeżyć odeskich poety. Nie pasują do niej, trzydziestoletniej separatki czy nawet rozwódki (a więc, na owe czasy, niemal już „matrony"), takie pieszczotliwe słówka, jak „oczki", „oczęta", „ustka", „słówka", i takie zwroty: „Moja Pieszczotka, gdy w wesołej chwili Pocznie szczebiotać i kwilić i gruchać", „Że uciekać i kochać bez nadziei muszę. Niech ślub ziemski innego darzy ręką twoją, Tylko wyznaj, że Bóg mi poślubił twą duszę", „Chociaż ona tak młodą", „a ona łzy leje", „Ja bronię się ponętom; ona i nadzieje Chce odstraszyć, co chwila brząkając kajdany, Którymi ręce związał nam los opłakany", „Ale kiedy się łzami nasze lica zroszą", „Przewalczyliśmy wiele i dni i tygodni, Młodzi, zawsze samotni, zawsze z sobą w parze". A trudno przypuścić, aby Mickiewicz, taką wagę przywiązujący do jak najwierniejszego oddania wszelkich szczegółów, miał do tego stopnia koloryzować.

Wszystko więc co powiedziałem zdaje się wskazywać, że wyznaczana dotychczas p. Sobańskiej przez historyków literatury rola w życiu i w twórczości naszego poety, a szczególnie identyfikowanie jej z przedmiotem odeskiej jego miłości, ukrytym pod inicjałami „D. D.", stoi w sprzeczności z materiałem faktycznym i z tego względu nie powinno nadal wprowadzać w błąd tych, co chcą i powinni mieć prawdziwy obraz życia i twórczości wieszcza. Panujący dziś pogląd na charakter stosunków Mickiewicza z p. Sobańską winien ulec odpowiedniej zmianie, a ewentualnemu wpływowi tych stosunków na twórczość poety należy wyznaczyć nowe, stokroć skromniejsze granice.

Tyle o Karolinie Sobańskiej. Pytaniem zaś, kto w rzeczywistości był ową mickiewiczowską „Donną Giovanną", zajmiemy się w następnych artykułach.

Leonard Podhorski-Okołów

KAZIMIERZ MALINOWSKI

Muzeum Narodowe w 1945 r.

Już nazajutrz po oswobodzeniu Warszawy przybyło do Muzeum Narodowego kilku jego pracowników celem zabezpieczenia resztek zbiorów i rozpoczęcia prac porządkowych. Budynek, mimo że można go było w porównaniu z innymi domami Warszawy zaliczyć do „ocalałych", znajdował się w stanie dużego zniszczenia. Niemal każdy pawilon miał przebite pociskami dachy, porozrywane ściany i sufity, wyrwane futryny okienne i wytłuczone szyby. Wewnątrz sale były posieczone kulami, instalacja wodna zniszczona, kotły i urządzenia ogrzewalne popękane, precyzyjne urządzenia techniczne zniszczone lub wykradzione. Eksponaty i akta, których Niemcy nie zdążyli wywieźć, porozrzucane były w niesłychanym nieładzie, tworząc kupy śmieci. W gnoju zwierzęcym i ludzkim brodziło się po kostki. W dawniej starannie i pieczołowicie utrzymanych salach, teraz barbarzyńsko okaleczałych, wstrząsające wrażenie robiły zwaliska pustych i przeważnie zniszczonych ram.

Wielki budynek muzealny stał otworem. W ogrodzeniu wyrwy, których załatać nie można było z powodu braku narzędzi, a w gmachu powybijane drzwi prowadzące do wnętrz niesłychanie utrudniały prace. Toteż przez wiele tygodni na plan pierwszy wysuwała się konieczność dozoru i ciągłego czuwania. Zwiększający się z dnia na dzień personel z trudem mógł podołać temu zadaniu, a trzeba było jednocześnie porządkować, zestawiać, czyścić i zabezpieczać ocalałe resztki zabytków, wyciągane spod gruzu, szkła i wszelakich nieczystości.

Jako podstawowy nakaz społeczny i moralny nasuwała się konieczność jak najprędszej odbudowy gmachu. Muzeum Narodowe było skarbnicą naszej przeszłości kulturalnej, było pomnikiem naszej siły twórczej. W zniszczonej Warszawie było też pierwszą instytucją kulturalną, która stanęła do apelu odbudowy stolicy. To obowiązywało. Trzeba było więc dążyć do jak najśpieszniejszego załatania zniszczeń i przeprowadzić choćby prowizoryczny remont, aby zabezpieczyć pozostałe zbiory sztuki polskiej, stworzyć miejsce dla rewindykacji dzieł zrabowanych i dać pomieszczenie dla oświatowej i wychowawczej działalności muzealnej. Wysiłki dyrekcji Muzeum, na której czele znowu stanął dawny dyrektor Stanisław Lorentz, spotkały się z pełnym zrozumieniem ze strony Biura Odbudowy Stolicy i już w kwietniu przystąpiono do przygotowania sal na przyszłą wielką wystawę. Miał nią być pokaz — „Warszawa oskarża".

Uroczyście otwarta wystawa w dniu 3 maja 1945 r. była dokumentacją barbarzyństwa niemieckiego — przede wszystkim w zakresie kulturalnym. Pokazano zniszczone dzieła sztuki — obrazy, tkaniny, wszelkiego rodzaju sprzęt i zbroję, zabytki prehistorii, starożytnego Egiptu i świata antycznego. Książką, dokumentem i statystyką zilustrowano dzieło zniszczenia archiwów i bibliotek. Fotografią, wykresem i planem zobrazowano straty architektoniczne. Sala poświęcona ocalałym resztkom Zamku Królewskiego i rekonstrukcja muru straceń, z krwawym obwieszczeniem o rozstrzelanych, bodaj w najbardziej dojmujący sposób wyrażały oskarżenie Warszawy.

Celem wystawy było pokazanie ludności stolicy i wszystkim przybywającym do Warszawy Polakom i cudzoziemcom stopień i ogrom zniszczenia dokonanego przez okupanta. Zamierzano też zadokumentować nasze prawo do rewindykacji zrabowanych dzieł i odszkodowań kulturalnych. Ponadto, otwierając podwoje muzealne po pięciu latach okupacji, dano dowód żywotności i szybkiego odradzania się życia. Odnowione i rzęsiście oświetlone sale, staranna i artystyczna wystawa, nastrój uroczystego skupienia, to wszystko dowodziło, że Polska pokonuje lata wojny.

Wystawę „Warszawa oskarża" zwiedziło przez 5 miesięcy 140.000 osób i nawet po otwarciu następnych wystaw w dalszym ciągu cieszyła się i cieszy niesłabnącym zainteresowaniem. Dla propagandy idei przyświecających wystawie wydano coś w rodzaju przewodnika, który ukazał się w językach polskim, rosyjskim, francuskim i angielskim. Nakład w łącznej wysokości 7.000 egzemplarzy jest na wyczerpaniu. Ilość zwiedzających i wielkość nakładu przewodnika, który w niemałej ilości dostał się do rąk cudzoziemców, oraz znaczna liczba recenzyj i notatek prasowych dowodzą słuszności obranego tematu i dydaktycznej skuteczności wystawy.

Duże zainteresowanie wystawą spowodowało, że dyrekcja Muzeum Narodowego uznała za właściwe uzupełnić ją pokazem rysunków, akwarel i gwaszów na temat ruin Warszawy. Wystawa ta mieszczącą się w czterech bocznych salach została otwarta 29 września 1945 r. Jury złożone z przedstawicieli Związku Plastyków, Akademii Sztuk Pięknych i BOSu przyznało nagrody Premiera Rządu, Ministra Odbudowy, Ministra Kultury i Sztuki, Prezydenta Miasta, kierownictwa BOSu, Związku Plastyków i dyrekcji Muzeum w łącznej wysokości 51.000 złotych. W ten sposób dyrekcja Muzeum, podejmując czasowo prawa zniszczonego Instytutu Propagandy i Sztuki (IPSu) przedstawiła publiczności współczesnych artystów Warszawy, artystom udzieliła gościny, instytucjom opiekującym się sztuką dała sposobność wyrażenia im uznania pod postacią znacznych nagród. Poziom i staranny sposób podania sprawiły, że zainteresował się nią dyrektor Muzeum Świętokrzyskiego w Kielcach, dokąd została wystawa przeniesiona w połowie stycznia 1946 r.

Nie zapomniano jednak o głównym zadaniu Muzeum — pokazie retrospektywnym. Dzięki wysiłkom dyrekcji i BOSu remont posuwał się naprzód, choć nie w takim tempie, jak tego wymagały ciążące na Muzeum obowiązki dydaktyczne i konieczności konserwatorskie. Starano się również odzyskać wywiezione obiekty muzealne. Wysiłkom i osobistym staraniom dyrektora Lorentza należy zawdzięczać, że wielką ilość eksponatów odnaleziono na Śląsku i większą ich część zabezpieczono na Wawelu. Symboliczny fakt oddania Warszawie zrabowanych dzieł sztuki uczczono uroczystością przyjęcia transportu pięciu samochodów siódmej dywizji piechoty; znalazły się w nim między innymi trzy obrazy Matejki: „Unia Lubelska", „Batory pod Pskowem" i „Rejtan". Ten i następne transporty zawierały jednak tak szczupły zespół obiektów muzealnych, że nie mogły one wystarczyć na otwarcie nie tylko stałych sal wystawowych, ale nawet projektowanej wystawy rewindykacyjnej. Zresztą większość przedmiotów przychodziła w stanie wymagającym mniej lub więcej poważnych zabiegów konserwatorskich.

Muzeum Narodowe zostało upaństwowione i nadano mu funkcje naczelnej instytucji muzealnictwa polskiego. Zakres działania rozszerzono przez wprowadzenie działów historii kultury oraz historii architektury i sztuki. Potrzeba dokumentacji architektonicznych spowodowała przejęcie w charakterze pozamiejscowych ośrodków muzealnych — pałaców w Wilanowie, Natolinie, Nieborowie i Arkadii. Wobec tak rozszerzonych zadań otrzymano obietnicę prezydenta miasta przyłączenia terenów po szpitalu św. Łazarza, a od kierownictwa BOSu przyrzeczenie opracowania planów rozbudowy gmachu.

Z wymienionych już powodów bezpośrednia akcja ekspozycyjna nie mogła uwzględnić sztuki polskiej i obcej dawnych wieków. Rozporządzając pewną ilością sal dyrekcja Muzeum uznała więc za konieczne użycie ich nie tylko dla propagandy nowoczesnej sztuki, ale również dla muzealnego uplastycznienia zagadnień z zakresu historii kultury a nawet pewnych spraw aktualnych.

Zorganizowana więc została wystawa lotnictwa angielskiego, ukazująca fotografią, sprzętem i filmem udział lotnictwa sprzymierzonego w akcji systematycznego kruszenia oporu niemieckiego. Wystawę otwarto 29 października 1945 r. w obecności marszałka Polski Roli-Żymierskiego, premiera Osóbki-Morawskiego i członków gabinetu oraz marszałka lotnictwa angielskiego Douglasa, ambasadora Cavendish-Bentincka i licznych osób z korpusu dyplomatycznego. Wielkie zainteresowanie wystawą tłumaczy się zrozumiałym uczuciem odwetu za klęskę 1939 roku i niewolę pięcioletnią i to odwetu, w którym wielce zasłużoną rolę odegrały polskie dywizjony lotnicze.

Z zakresu historii kultury była wystawa zatytułowana „Chopin i jego Warszawa". I ta wystawa, otwarta 21 października 1945 r., miała aktualny oddźwięk polityczny. Każdy mieszkaniec Warszawy i każdy Polak odczuwał zniszczenie pomnika Chopina jako obelgę narodową, a zakaz grania jego utworów przyjmował jako tchórzliwy lęk przed niesłychaną siłą wyzwalającej uczucia narodowe muzyki Chopina.

Rok 1945, rok wyzwolenia i obrachunku z ponurą przeszłością okupacji, zobrazowaliśmy hołdem dla wszystkich w czasach wojny walczących, cierpiących i ginących, otwierając z okazji Pierwszego Kongresu Związków Zawodowych wystawę zatytułowaną „Lata wojny". Hełm powstańczy i krata z Pawiaka symbolizowały tę wystawę, a ilustrowały ją rysunki, obrazy, drzeworyty i akwarele wykonane w kraju i w obozach, tu i tam w warunkach konspiracji.

Spoglądając wstecz na dokonania ubiegłego roku wyrażające się uporządkowaniem gmachu, osiągnięciami remontu, organizacją pięciu wystaw, 39 wykładów, koncertu i osiągnięciem ogromnej frekwencji osiągającej cyfrę 310.000 osób (w roku 1938 przy 1,300.000 ludności Warszawy wynosiła frekwencja 1,020.000 osób) możemy bez przesady orzec, że kierownictwo, personel naukowy, administracyjny i funkcjonariusze Muzeum na równi z inżynierami i robotnikami BOSu dobrze spożytkowali pierwszy rok odbudowy.

Kazimierz Malinowski

JULIUSZ KLEINER

Poemat Słowackiego o powstaniu warszawskim

W numerze 28 „Odrodzenia" ukazał się artykuł pt.: „Uspokojenie" Juliusza Słowackiego. Autor podpisany literami **mj** dał w nim próbę rekonstrukcji poematu, próbę użyczenia mu właściwej, logicznej formy. W ostatnim zdaniu zwrócił się do mnie z apelem, bym głos zabrał w sprawie ostatecznego ustalenia tekstu. Zgodnie z tym apelem postaram się w uwagach niniejszych dojść do wskazania definitywnej postaci utworu tak nam dzisiaj bliskiego.

„Uspokojenie" jest wśród utworów Słowackiego pozycją ważną ze względu na swój artyzm, co w jednym z pierwszych numerów „Odrodzenia" uwydatnił autor wspomnianego artykułu. Słowacki, który w przeciwieństwie do Mickiewicza, nie zdobywającego się nigdy na obraz Wilna, obok piękna przyrody, odczuwał także i rozumiał piękno miast, który w „Paryżu" ukazywał fizjonomię architektoniczną całokształtu miejskiego, a w „Godzinie myśli" ze wspomnień wyczarował widok Krzemieńca, w „Uspokojeniu" zarysował fascynującą wizję urbanistyczną. Ale z innego powodu nabrał ten wiersz dla naszego pokolenia aktualności niesamowitej: jako wiersz proroczy o powstaniu warszawskim.

„Uspokojenie", nie ogłoszone drukiem przez twórcę, ukazało się po raz pierwszy w r. 1861 w numerze 228 krakowskiego „Czasu". Liczyło w tym numerze sześćdziesiąt kilka wierszy. Brzmienie ich odpowiada odpisowi, który należał do Biblioteki Pawlikowskich, a dziś przeszedł w skład zbiorów Zakładu Narodowego im. Ossolińskich. W lat pięć później (w r. 1866) Antoni Małecki w tomie I „Pism pośmiertnych" Słowackiego ogłosił tekst obszerniejszy, liczący dziewięćdziesiąt kilka wierszy. Tekst ów odtąd obowiązywał. Przedrukował go m. in. zarówno Artur Górski w swym wydaniu dzieł Słowackiego, jak Bronisław Gubrynowicz w pierwszym wydaniu krytycznym pism poety.

Na kilka lat przed wybuchem wojny zbiór rękopisów Słowackiego, stanowiący jeden z największych skarbów Biblioteki Ossolińskich, wzbogacił się o szereg autografów z epoki mistycznej, których miejsce przechowania było przez długi czas nieznane; wśród nich znalazł się również autograf „Uspokojenia", ten, z którego korzystał Małecki. Autografy owe przejrzałem, ale ich przestudiowanie odłożyłem do czasu, gdy w redagowanym przeze mnie sześnastotomowym wydaniu „Dzieł wszystkich" poety opracowywać będę tom drobnych utworów okresu mistycznego.

Dokładne zbadanie rękopisu „Uspokojenia", w tej chwili niedostępnego dla mnie, pozwoli niewątpliwie sprostować niedokładności jakieś, które prawdopodobnie dadzą się stwierdzić w tekście Małeckiego, i dostarczy może ciekawych odmian. Dla ustalenia właściwej postaci utworu rękopis ten (jak to jasne się stanie w toku dalszych uwag) nie będzie miał znaczenia; zawiera on bowiem tę właśnie całość, którą drukuje się w wydaniach od czasu „Pism pośmiertnych".

Ponieważ rekonstrukcja poematu opierać się będzie na szczegółowej analizie tekstu, który dotąd był stale powtarzany, podaję ów tekst zgodnie z tomem pierwszym edycji Gubrynowicza. Dla ułatwienia orientacji, dla większej przejrzystości dalszych rozważań krytycznych nie tylko umieszczam liczby porządkowe wierszy, ale ustępy poszczególne oznaczam literami od A do I.

A Co nam zdrady! — Jest u nas kolumna w Warszawie,
Na której usiadają podróżne żurawie
Spotkawszy jej liściane czoło śród obłoka:
Taka, zda się, odludna i taka wysoka!
Za tą kolumną, we mgły tęczowe ubrana,
Stoi trójca świecących wież świętego Jana:
Dalej ciemna ulica, a z niej jakieś szare
Wygląda w perspektywie sinej Miasto Stare;
A dalej jeszcze we mgle, która tam się mroczy,
Szkła okien — jak zielone Kilińskiego oczy,
Czasami uderzone płomieniem latarni,
Niby oczy cichego upiora spod darni.

B Więc lada dzień, a nędza sprężyny dociśnie:
To naprzód tam na rynku para oczu błyśnie
I spojrzy w Świętojańską na przestrzał ulicę;
A potem się poruszą wszystkie kamienice,
A za kamienicami przez niebios otchłanie
Przyjdzie zorza północna i nad miastem stanie;
A za zorzą wiatr dziwne miotający blaski
Porwie te wszystkie zemsty i te wszystkie wrzaski —
Wicher jakiś z aniołów urobiony Pańskich,
Oderwany jak skrzydło z widzeń Święto-Jańskich,
Przeźroczysty jak bryliant, a jak ogień złoty,
Który chwyci te zemsty, te światła, te grzmoty,
Zwinie i niemi ciemną uliczkę zmiędze
Jako braz w niej zakipi, zaświszcze jak węże
I naprze tak, że będzie trzęsąca się cała
Jako wół sycylijski na miasto ryczała.

C Usłyszycie wy wieńczas, serc naszych złodzieje,
Jaki wiatr z tej ulicy na miasto powieje;
Przez harmonikę tonów swój krzyk przeprowadzi,
O kościół katedralny skrzydłami zawadzi,
Porwie królewski zamek, otworzy jak trumnę,
A potem na Zygmunta uderzy kolumnę
I z marmuru wyciągnie jakieś echo skalne
Jakieś smętne, dalekie muzyki choralne,
Które ja dziś już chwytam myślą na pół senną.
Słyszac ten wiatr i strunę pod wiatrem kamienną

D Więc kiedy kościół zadrży od stóp aż do skroni
I płaczącym się głosem na miasto rozdzwoni,
Więc kiedy ta kolumna w pomroku miesiąca
Zostanie zdziesiątkowana jak harfa grająca...
To wtedy co? Krzyk jeden jak burza ponura —
Nie wiem, „Niech żyje Polska" czyli też krzyk „hurra!"
Wyleci jak koń śmierci zerwany z wędzidła.
O katedralny kościół otrze głośne skrzydła...

E A miasto co? — Słuchając z wyciągniętą szyją
Powie, że tam się ciemni aniołowie biją,
Że tam szatan ogniste przywoławszy moce
Koń swój brązowy ciska piorun gruchoce;
Że jako Machabeusz pod zwalonym słoniem,
Tak szewcy pod piorunem padają i koniem
Zgruchotani; że księżyc na niebie odkryty
Pokaże tę ulicę pustą, lud wybity,
Piorun zagasły, walkę okropną skończoną.
Ulicę całą ciemną i krwią zadymioną...

F Więc kiedy miasto całe przestrachem ogłuchnie,
To znowu ta ulica jednym wiatrem buchnie,
Jednym krzykiem.....
A potem co? — Stojący uliczce na strychu
Kościół się katedralny odezwie po cichu,
Walkę i krzyk różnymi wiejący głosami,
Jak organ rzuci miastu — głucho — akordami —
Coraz głośniej — i całą tę harmonię senną
Roztrąci o kolumnę, tę strunę kamienną.

G Wtem znów jeden z tych wrzasków, od których natura
Wzdryga się — jeden „vivat" uliczny i „hurra"!
Jeden z tych krzyków, które czynią, że skrzydlata
Natura ducha w kościach tak jak ptaszek lata;
Że duch na ustach staje i już nie jest zdolny
Zatrzymać śmiech serdeczny i płacz mimowolny;
Jeden z tych krzyków, który wnikając w człowieka
Tak śpiewa w nim jak anioł, a jak szatan szczeka:
Jeden z tych krzyków... szumem błyskawic nawalnym
Uderzy, na kościele pęknie katedralnym,
Pójdzie mimo, lecz skrzydłem o kościół otarty
Kamienie w nim wrzeszczące zostawi jak czarty,
I wiele innych głosów, które zmartwychwstanie
Zapieją, jak anioły związane w organie.

H I jeszcze ta harmonia nie zamilkła senna,
A już kolumna placu, ta struna kamienna,
Tym samym wichrem bita, z rozwahanym czołem,
Prym wzięła przed choralnie jęczącym kościołem,
I dwa te śpiewy już bez odpoczynku
Będą miastu ogłaszać lud idący z rynku.

I Jeśliż ma ta ulica taka ciasną szyję,
Że z niej by słowo wyszło, to jak działa bije;
Jeśliż na każdą formę naszego uczynku
Tak srogo ona patrzy oczyma aż z rynku;
Jeśliż lada noc, a z niej wystrzeli powstanie
I w proch tego rozrzuci, kto na rychcie stanie;
Jeśliż jest taka mocna, że przez mury cieni
Muzykę ciemną strachu wyrzuca z kamieni,
A kolumny na swoje muzykanty stroi:
To człowiek, który zawsze o zdradę się boi
I wszędzie widzi tylko postrachu upiory,
Albo dzieckiem być musi, lub na serce chory.

Wiedziony intuicją poety **mj** w artykule wspomnianym wyraził przekonanie, „że utwór ten zawiera w sobie, widocznie nie przekreślone później przez poetę, różne redakcje tej samej wizji".

Zaznaczyć należy, iż w autografach swoich Słowacki napisawszy jakiś ustęp niejednokrotnie w dalszym ciągu daje mu nową formę, pisze drugą, trzecią, czwartą redakcję i często nie myśli o tym, by redakcję zarzuconą przekreślić. Innym razem przekreśla początek zaniechanego ustępu, a resztę pozostawia. (Wyjątkowo zdarza się, że przekreśli za dużo). Ten właśnie sposób pisania jest jednym z powodów, dla których przez długie lata błędnie drukowano poematy pochodzące z puścizny rękopiśmiennej.

Do szkiców brulionowych pozostawiających ustępy zaniechane bez przekreślenia należy tekst poematu o przyszłym powstaniu warszawskim.

Autor artykułu wyszedł z trafnego założenia; nie tak trafna okazała się droga wiodąca do rekonstrukcji. Nie zżyty z autografami Słowackiego, nie uświadomił sobie jasno, że jeżeli w rękopisie po jednej redakcji następuje druga i trzecia, to zwykle ta, która napisana jest jako ostatnia, odpowiada ostatecznym intencjom twórcy. Rzadko tylko się zdarza, by Słowacki napisawszy nową redakcję uznał ją za niewłaściwą, ale nie napisał nowej i wrócił do poprzedniej. (Okaże się, że przypadek taki zachodzi właśnie raz w „Uspokojeniu"). Drugim źródłem błędu stał się fakt, że sześciowiersz H, zasadniczy składnik struktury poematu, składnik o znaczeniu decydującym dla rekonstrukcji, autor artykułu uznał za „strofę luźną, dla której trudno by było znaleźć właściwe miejsce w utworze".

Jakżeż więc przedstawi się całość podana w „Pismach pośmiertnych", a przedrukowana przez dalszych wydawców, w świetle naukowej krytyki tekstu?

Analiza tej całości każe przede wszystkim stwierdzić, że pojawiają się powtórzenia treściowe i powtórzenia zespołów słownych, przy czym powracające w pewnych odmianach zespoły wyrazów nie mogą być uznane za celowe użycie artystycznego środka powtarzania. Wobec tego są one niezgodne z techniką poetycką Słowackiego i nie mogą należeć do jednolitej struktury tego samego utworu.

Ustęp C kończy się wierszami:

Jakieś smętne, dalekie muzyki choralne,
Które ja dziś już chwytam myślą na pół senną
Słyszac ten wiatr i strunę pod wiatrem kamienną.

Motyw rymowy „senna — kamienna" wraca, gdy poeta w ustępie F przedstawia muzykę oddźwięków miasta:

...i całą tę harmonię senną
Roztrąci o kolumnę, tę strunę kamienną.

W zespoleniu z harmonią, kolumną i struną rozpoczyna owa para rymowa ustęp H:

I jeszcze ta harmonia nie zamilkła senna,
A już kolumna placu, ta struna kamienna..

Nie ulega wątpliwości, że gdy poeta pisał ustęp F, pojmował go jako nową redakcję, mającą zastąpić ustęp C i przyjmującą z niego pewne elementy. Podobnie wiersze rozpoczynające ustęp H świadczą wyraźnie, że w chwili ich pisania zarzucony był już ustęp F.

Rozgłośna fanfara ustępu G zaczyna się od słów:

Wtem znów jeden z tych wrzasków, od których natura
Wzdryga się.. jeden „vivat" uliczny i „hurra!"

Brzmi ona znowu echem wiersza 43 i 44 z D

To wtedy co? — Krzyk jeden jak burza ponura —
Nie wiem „Niech żyje Polska!" czyli też krzyk „hurra!"

Oczywiście D było redakcją zaniechaną, gdy powstała redakcja G.

W owej zaniechanej redakcji D słowa o potężnym oddźwięku miasta wprowadzone były przez pytanie, na które pada odpowiedź: „To wtedy co? — Krzyk jeden jak burza ponura" Ten sposób wyrażenia przejęły wiersze 47 i 48 w E:

A miasto co? — Słuchając z wyciągniętą szyją,
Powie, że tam się ciemni aniołowie biją.

Jeszcze raz jawi się takie pytanie z odpowiedzią w ustępie F:

A potem co? — Stojący uliczce na strychu
Kościół się katedralny odezwie po cichu.

Redakcja F nie zadowoliła jednak poety, skoro początek H dowodzi, że została ona wyeliminowana. Znajdujący się w niej motyw kościoła katedralnego i jego głosu przeszedł z G (wiersz 75: Na kościele pęknie katedralnym) do H (wiersz 85: Prym wzięła przed choralnie jęczącym kościołem).

Możliwe jest, że poeta zrezygnował z tego, co zawierało E i F; ale wobec wielkiej wagi i poetyckiej potęgi motywu wydaje się prawdopodobniejsze, że niezadowolony z F wrócił do E i że z ustępem E wiązać się ma G.

W takim razie odpadłyby jako ustępy zarzucone C, D, i F; ostateczną redakcję utworu stanowi połączenie ustępów: A, B, E (którego początek: „A miasto co?" — wyraźnie się łączy z końcem B: „Jako wół sycylijski na miasto ryczała"), G, H, I.

(Wspomniany artykuł daje rekonstrukcję wiersza złożoną z ustępów: A, B, C, D, E, I. Powstała w ten sposób niewątpliwie całość jednolita i logiczna, ale niezgodna z definitywnymi intencjami poety; zamiast redakcji ostatecznych znalazły się tutaj redakcje wcześniejsze C i D i w dodatku kontynuacją D jest druga redakcja tego ustępu, E).

Jest to jasny, analizą uzasadniony wynik zbadania tekstu „Pism pośmiertnych" — i zdawałoby się, że rekonstrukcja ostatecznej redakcji jest już ustalona. Ale oto przychodzi niespodzianka: zapomniany, usunięty w cień przez obszerniejszą redakcję poematu tekst krakowskiego „Czasu" oraz kopii ze zbiorów Pawlikowskich okazuje się w zespoleniu ustępów zgodny z uzyskanymi wynikami. Jeśli zamiast 97 wierszy liczy on ich tylko sześćdziesiąt kilka, to dlatego, że brak w nim ustępów C, D i F, to znaczy tych właśnie ustępów, które są redakcjami zarzuconymi. Wniosek sam się narzuca: wydawca tekstu w „Czasie" i kopista mieli przed sobą autograf ostatecznej redakcji poematu. Tekstem obowiązującym „Uspokojenia" winien być ów tekst krótszy.

Wynikną z tego jeszcze nowe konsekwencje. Prócz wymienionych redakcji wcześniejszych brak w „Czasie" wiersza 88 i 89 ustępu H:

Jeśliż na każdą formę naszego uczynku
Tak srogo ona patrzy oczyma aż z rynku...

Już analiza filologiczna mogłaby nasunąć wątpliwości co do pozostawienia tego dwuwiersza, bo para rymowa „uczynku — rynku" powtarza parę bardzo bliską z wierszy 84 i 85: „odpoczynku — rynku" Jeżeli zaś poeta usunął go z całości ostatecznej, to miał może inny jeszcze powód: są to wiersze, które niezupełnie harmonizują z całością.

Nie samymi jednak tylko rozmiarami różni się tekst „Czasu" od tekstu „Pism pośmiertnych" i Gubrynowicza. Szereg wierszy ma brzmienie odmienne. Tak np. w wierszu 10 „Szkła okien — jak zielone Kilińskiego oczy" zmieniły się w „Dwa okna", co niewątpliwie silniej narzuca obraz pary oczu. W wierszu 16 „A potem się poruszą wszystkie kamienice" obojętne uczuciowo dodanie do „kamienic" słowa „wszystkie" przeszło w wyrażenie istotnie poetyckie „matki-kamienice". W ustępie H wiersz przedostatni, w którym brak dwu zgłosek: „I dwa te śpiewy już bez odpoczynku" — zastąpiony został pełnym trzynastozgłoskowcem: „I odtąd te dwa głosy już bez odpoczynku". W ustępie I (ulicę, co „muzykę wyrzuca z kamieni" (w. 92—93) zastąpił wiatr, co „muzykę wyrywa z kamieni"). Jak wskazują te przykłady, odmiany tekstu krótszego mają charakter niewątpliwych poprawek poety. Ale chociażby nie zawsze zasługiwały na pierwszeństwo w stosunku do poprzedniego brzmienia, rozstrzyga na ich korzyść fakt, że pochodzą z ostatecznej redakcji.

Wątpliwości nasunąć się mogą dopiero wtedy, gdy kopia rękopiśmienna ze zbiorów Pawlikowskich odbiega od tekstu drukowanego Tak jest w czwartym wierszu ustępu H. „Czas" wydrukował: „Prym weźmie przed choralnie jęczącym kościołem", w kopii wiersz ten brzmi. „Prym weźmie przed choralnym w ciemnościach kościołem" Wobec zaginięcia autografu trudno stwierdzić źródło tej różności brzmienia; nie jest niemożliwe, że kopię dyktował Słowacki i wprowadził poprawkę W każdym razie ciemności jako tło „choralnego kościoła" górują nad „choralnie jęczącym kościołem"

W myśl tych wszystkich wywodów tekst ostatecznej redakcji (który bez sięgnięcia do rocznika „Czasu" i do kopii rękopiśmiennej zrekonstruować można na podstawie odmian wydobytych z „Czasu" i z kopii przez Gubrynowicza [na str. 333—334 edycji wymienionej]) przedstawia się jak następuje:

A Co nam zdrady! — jest u nas kolumna w Warszawie,
Na której usiadają podróżne żurawie
Spotkawszy jej liściane czoło śród obłoka;
Taka zapraszająca i taka wysoka.
Za tą kolumną, we mgły tęczowe ubrana,
Stoi trójca świecących wież świętego Jana;
Dalej ciemna ulica, a z niej jakieś szare
Wygląda w perspektywie sinej Miasto Stare;
A dalej we mgle, która na rynku się mroczy,
Dwa okna — jak zielone Kilińskiego oczy
Uderzone płomieniem ognistej latarni,
Niby oczy cichego upiora spod darni.

B Więc lada dzień, a nędza sprężyny dociśnie:
To naprzód tam na rynku para oczu błyśnie
I spojrzy w Świętojańską na przestrzał ulicę —
A potem się poruszą matki-kamienice,
A za kamienicami przez niebios otchłanie
Przyjdzie zorza północna i nad miastem stanie;
A za zorzą wiatr dziwne miotający blaski
Porwie te wszystkie zemsty i te wszystkie wrzaski —
Wicher jakiś z aniołów rozigrany Pańskich,
Oderwany jak skrzydło z widzeń Święto-Jańskich
Przeźroczysty jak brylant, a jak ogień złoty,
Który porwie te zemsty, te światła, te grzmoty
Zwinie i nimi ciemną ulicę zalęże
Jako braz w niej zakipi, zaświśnie jak węże
I naprze tak, że będzie trzęsąca się cała,
Jako wół sycylijski na miasto ryczała.

E A miasto co? — Słuchając z wyciągniętą szyją
Powie: że tam się ciemni aniołowie biją,
Że tam szatan ogniste przywoławszy moce
Koń swój brązowy ciska i piorun gruchoce,
Że jako Machabeusz pod zwalonym słoniem,
Tak szewcy pod piorunem padają i koniem
Zgruchotani... że księżyc na niebie odkryty
Pokaże tę ulicę pustą, lud wybity,
Piorun zagasły, walkę okropnie skończoną.
Ulicę całą ciemną i krwią zadymioną

G A wtem jeden z tych wrzasków, od których natura
Wzdryga się — jedno vivat szewieckie i hurra,
Jeden z tych okrzyków, które czynią, że skrzydlata
Natura ducha w kościach tak jak ptaszek lata,
Że duch na ustach staje i już nie jest zdolny
Zatrzymać śmiech serdeczny lub płacz mimowolny;
Jeden z tych krzyków, który wstąpiwszy w człowieka
Tak śpiewa w nim jak anioł i jak szatan szczeka.
Jeden z tych krzyków... z szumem gwałtownym, nawalnym
Uderzy, na kościele pęknie katedralnym,
Pójdzie mimo, lecz skrzydłem o kościół otarty
Kamienie w nim wrzeszczące zostawi jak czarty
I szklanne inne głosy, które zmartwychwstanie
Zapieją jak anioły związane w organie.

H Jeszcze się ta harmonia nie zakończy senna,
A już kolumna z placu, ta struna kamienna,
Tym samym wichrem tarta, z rozwahanem czołem
Prym weźmie przed choralnym w ciemnościach kościołem
I odtąd te dwa głosy już bez odpoczynku
Będą miastu głosiły lud idący z rynku.

I Jeśliż ma ta ulica taką ciasną szyję,
Że z niej — by słowo wiało, to jak działa bije;
Jeśliż lada noc, a z niej wystrzeli powstanie
I w proch tego rozerwie, kto na rychcie stanie;
Jeśliż w niej wiatr jest taki, że wśród nocnych cieni
Muzykę niewidzialna wyrywa z kamieni,
A kolumny na swoje muzykanty stroi:
To człowiek, który zawsze o zdradę się boi,
I wszędzie widzi tylko przestrachu upiory,
Albo dzieckiem być musi, lub na serce chory

Taka jest postać właściwa „Uspokojenia" — i w tej postaci poemat winien utrwalić się w pamięci narodu.

Juliusz Kleiner

W NAJBLIŻSZYCH DNIACH
UKAŻĄ SIĘ
W DRUGIM WYDANIU

POLA GOJAWICZYŃSKA

KRATA

SEWERYNA SZMAGLEWSKA

DYMY
NAD BIRKENAU

CZYTELNIK

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA
»CZYTELNIK«

W poprzednim (65) numerze „Odrodzenia" z dnia 24 lutego: **Leonard Podhorski-Okołów:** „Łudziłem despotę..." Mickiewicz a dekabryści. — **Jan Tadeusz Zaleski:** Kwitnące sady. — Malarstwo polskie (**Aleksander Gierymski:** Przystań na Solcu). — **Stanisław Piętak:** Front nad Wisłą. — Malarstwo francuskie (**Auguste Renoir:** Kąpiel w Sekwanie). — Kronika kulturalna ZSRR (js: Orientalistyka. **Paweł Eftinger:** Studium Akwafortowe im. Ign. Niwińskiego). — **Tadeusz Hołuj:** Zapomniana rewolucja. W stulecie wybuchu rewolucji krakowskiej. — **Franciszek Gil:** Żniwo wielkiej reformy. Nowy los chłopskiego dziecka. — **Jerzy Bossak:** Film polski i malkontenci. — **Irena Krzywicka:** Paryż z bliska. — Z wydawnictw (**Józef Steradzki:** Aforyzmy Kościuszki. **Mieczysław Woźnowski:** Nowe mapy). — **Zbigniew Bieńkowski:** Zamiast kwiatów. — **Wacław Kubacki:** Sprawa komentarzy. — Konkurs na sztukę. — **Stanisław Marczak-Oborski:** Jeszcze jedna cyganeria. — **Julian Przyboś:** Sprawa Rudnickiej. — Konkurs na poetycki tekst piosenki. — W teatrach krakowskich (**Stefan Otwinowski:** „Jason" **Stefan Flukowski:** Poezja starcpolska w Starym Teatrze). — **Mieczysław Dereżyński:** Prapremiera w Toruniu. — zb: Przegląd prasy. — js: Niedobrze. — js: Przerwać tę serię. — Korespondencja (**Leonard Podhorski-Okołów**). — 4 ilustracje. — 12 stron.

JAN ALFRED SZCZEPAŃSKI

Niebezpieczne związki

Jalu Kurek

Jalu Kurek. Janosik. Powieść. Tom pierwszy. Sława Głuchaczkom. Kraków, Stefan Kamiński, 1945; str. 523 i 5 nl.

PRZEDŚPIEW

Jalu Kurek napisał powieść awanturniczą o nowoczesnym Janosiku, która liczy — jeśli wyznania autora brać dosłownie — około 1500 stron druku. Z nich 500 z górą wydał jako pierwszy tom powieści i poprzedził „Przedśpiewem", mimo godnych uwagi wysiłków autora, niezwiązanym z tokiem opowieści o Janosiku i stanowiącym jedynie przykład niepokojącego egotyzmu autora. Tematem właściwej powieści są dzieje złodzieja powiatowego, pasowanego przez okoliczną ludność i przez autora na szumnego zbójnika, tematem „Przedśpiewu": nieuzasadnione i zbyteczne związanie tego wątku z wątkiem osobistych przeżyć autora. Kurek stylizuje swą powieść na epopeę, zaznaczając tę epickość natrętnie, nawet takimi „chwytami", jak tytułem „Sława Głuchaczkom" lub podziałem tomu nie na części, lecz na „pieśni". Ale Homer nie opiewa sam siebie, śpiewając gniew Achillesa. Kurek powiada: „Czytelnicy, poznajcie mnie, który to piszę, zanim poznacie mojego bohatera". Jest to ten sam przekraczający miarę egocentryzm, który Kurkowi, nawet gdy pisze „Poprawki do Homera", każe zastanawiać się, czy im nie dać tytułu „Homer w (N)naprawie".

Równocześnie należy przyznać, że „Przedśpiew", mimo pewnej afektacji i wdzięczenia się autora do czytelnika, jest wzruszającym hymnem ku czci matki, przypominającym — jeśli pominiemy dość różne akcesoria zewnętrzne — „Matkę" Sewera czyli dzieje Katarzyny Smreczyńskiej i jej syna. Zawsze jednak tego rodzaju liryczne wyznania osobiste budzą uczucie spłoszenia, uczucie raczej cofania się w siebie niż wyjścia autorowi naprzeciw. Zarazem jednak „Przedśpiew" — silniej niż dalsze części książki — uwydatnia psychologiczny typ utworu. Trudno mówić o autobiografiźmie; wolno jednak i należy o kompensacji. Stąd, irytujący chwilami, kult autora dla swojej wizji. „Szczupłość fizyczna była u niego płomieniem, lecz owa wiotkość szła doskonale w parze z jędrnością muskułów". W tym tonie pisze Kurek o bandycie Janie Dziurze od samego początku, a ubóstwienie to sprawia wrażenie omal niepoważne. Złośliwi rzec by mogli, że to stare panny malują w ten sposób w swojej wyobraźni postać urodziwego bohatera wyimaginowanych romansów. Czytelnik czuje się zawiedziony, gdy autor za niego miesza herbatę łyżeczką.

MOTYW ZASADNICZY

Po „Grypie", po „Młodości śpiewaj" Kurek uwierzył, że może być literackim „mścicielem" krzywd społecznych, rodzajem janosikowego brata po piórze. Ale Janosiki tym się odznaczają, że problemy społeczne oceniają płytko i nieraz fałszywie, niezdolni do rozpoznania związku przyczyn i skutków, że romantyzm myśli i czynu wyradza się u nich w zrywy aspołeczne i anarchiczne. Kurek każe swemu bohaterowi żyć w określonym miejscu i czasie, w oznaczonej ściśle topografią i kalendarzem współczesnej rzeczywistości. Prowadzi to do dziwacznych a chwilami zastanawiających nieporozumień. Gminy żywieckie, które opisuje Kurek z drobiazgową ścisłością, są wydane nie tylko na łup żywiołom i poddane prawom surowej przyrody: również prawo państwowe przybiera tu postać karykaturalną zupełnej samowoli miejscowych kacyków, wójta, posterunkowego, bogatego handlarza... Z tymi prowincjonalnymi przerostami sanacji nadaremnie usiłuje walczyć garść uświadomionych politycznie chłopów, z działaczem „wiciowym" Wojnarem na czele. Temat szczęśliwy i wdzięczny, niestety przeprowadzony niezręcznie i symplicystycznie. Kontakty Wojnara z Janem Dziurą i jego rojenia na temat przyszłej roli politycznej „Janosika" są najmniej umotywowane w powieści i najsłabszy znajdują w czytelniku oddźwięk.

Autor stoi zdecydowanie po stronie „Wici" i Wojnara, a zdaje się nie zdawać sobie sprawy, jak mało splendoru przyczynia swoim pupilom ukazując ich w sytuacjach co najmniej dwuznacznych. Dziura-Janosik ma w drugim tomie powieści przejść pono ewolucję w kierunku zdecydowanego uspołecznienia swojej działalności. Na podstawie dotychczasowych jego dziejów trudno uwierzyć, by ewolucję tę dało się w sposób dostateczny uzasadnić i uprawdopodobnić.

ZAGADNIENIE MITU

Jan Reychman w „Odrodzeniu" (nr 46) twierdzi, że „mit zbójnicki wciąż żyje; wypowiedź Jalu Kurka dowodzi dalszej żywotności tego nieśmiertelnego wątku". Ale rzecz w tym, że mitu nie da się stworzyć odgórnie i że mit z samej istoty swej funkcji i swego oddziaływania musi uwzględniać czynnik czasu. Z „Fassio Janoszicciana" dowiedzieliśmy się, że Janosik był pospolitym złodziejaszkiem i marnym opryszkiem, który rabował chłopów i karczmarzy, a, bywało, okradał własnych towarzyszy; w legendzie: „łupił panów a ubogim dawał". Kurek usiłuje się utrzymać w ramach ścisłego realizmu. I oto potyka się o nieprawdopodobieństwa, o nieprawdy wywołujące sprzeciw, skoro rzecz się dzieje w powiecie żywieckim a nie na księżycu i w okresie rządów sanacji w Polsce a nie w czasach poetycko nieokreślonych. Umiejscowienie Janosika w rzeczywistości Sławoja Składkowskiego zawodzi, konstrukcja pruje się i rozłazi. Rzecz zaczyna się zresztą nieźle: karierę rozpoczyna Janosik na drodze wsiowego łotrzykowania. Ale gdy autor doprowadza go do obrabowania pałacu arcyksiążęcego w Żywcu i pani habsburskiej — nie dostajemy nowej wersji Janosika tańczącego z cesarzową na złocistym zamku, lecz rozdział z powieści sensacyjnej, bliższy Courts-Mahler niż Tetmajera. Wbrew entuzjastom wypadnie więc stwierdzić, że próba włączenia dawnego mitu w warunki naszemu pokoleniu współczesne nie osiągnęła powodzenia, mimo udanych i nieraz cennych sukcesów cząstkowych. Powód główny w tym, że autor nie przetworzył szarych faktów w barwną legendę, lecz usiłuje wmówić legendę i narzucić mit sytuacjom, które podstawy do tego mitu — w postaci owych szarych faktów — nie stworzyły.

PARALELE I ALUZJE

Jest rzeczą charakterystyczną, że w drugim dziesięcioleciu międzywojennym, równolegle do wzbierania fali faszyzmu, wracała poczytność i zainteresowanie zbójnictwem. W twórczości literackiej przeszło też ono znamienną ewolucję. Gdy w epoce Tetmajera czy Króla nadawano Janosikowi rysy czysto romantyczne i cofano go w odległą a nieraz i nieokreśloną przeszłość — międzywojenne wskrzeszenie i odmłodzenie mitu Janosika poszło po linii związania go z określonym ustrojem społecznym i nadania mu społecznego wyrazu, nie idącego zresztą bynajmniej po linii istotnego społecznego postępu (z jednym, najwybitniejszym wyjątkiem: „Janosik z Terchowej" St. R. Dobrowolskiego ma akcent społeczny trafny i położony na właściwej sylabie). Dwie zwłaszcza pozycje janosikowe z czasów ostatnich należy wymienić i skonfrontować z powieścią Kurka: Hruszovsky'ego „Janoszik" (1934) i Olbrachta „Nikołaj Szuhaj zbójnik" (1932).

Popularny, tradycyjny, społecznie zachowawczy pisarz słowacki Jan Hruszovsky wysmażył swego „Janoszika" (4 grube tomy po kilkaset stron) według wątków tradycyjnych i legendowych, związał go jednak — nie zawsze szczęśliwie — z rzeczywistością historyczną i historycznym Janoszikiem oraz z narodowo-niepodległościowymi dążeniami Słowaków i z osobą „wodza" Franciszka Rakoczego II, do pewnego stopnia wyraziciela tych dążeń. Iwan Olbracht (Zeman) stał się poprzednikiem Kurka nie tylko w koncepcji przeniesienia dziejów Janosika w czasy współczesne, ale i w całej koncepcji społecznej. Olbracht — wyborny epik, za „Szuhaja" odznaczony państwową nagrodą czecho-słowacką — przedstawia swego Janosika podobnie jak Kurek; dowód to, jak trudno wyłamać się w tym temacie z narowów tradycji (choć powiodło się to St. R. Dobrowolskiemu). Sumienny realista, umieszcza Olbracht swego bohatera w określonej wsi określonego powiatu (Rusi Podkarpackiej). Jego zdaniem, psychika karpackiego chłopa jest niezmienna i umiłowanie wolności przejawia się w niej zawsze anarchicznym zbójnictwem. Porządek społeczny — ze wszystkimi jego krzywdami i oszukaństwem — reprezentuje znów podobnie jak u Kurka policja i bogacze wsiowi („Szuhaj" ma silny akcent antysemicki, od którego wolna jest powieść Kurka). Konflikt Szuhaja z tymi elementami ładu (złego, ale ładu) przedstawiony jest zwarcie i głęboko dramatycznie, w krótkiej powieści, pozbawionej jakichkolwiek dłużyzn i wątków ubocznych, toteż dającej tym wyrazistszy i mocniejszy obraz. U Olbrachta następuje też dramatyczne przesilenie włączone w przełom 1918 r. Odpowiednika takiego historycznego sprawdzianu brak u Kurka; być może, zarysuje się w następnym tomie. Olbracht jest konsekwentny: chłop z Wierchowiny korzysta z przewrotu, by urządzić pogrom swoich krzywdzicieli. Czy Kurek będzie równie konsekwentny? Jego chłopi rozumują nie inaczej niż rodacy Szuhaja: „Wójtem jest. Rządzi. A jak rządzi to i kradnie". Trzeba jednak przyznać, że Olbracht instynktów anarchicznych nie gloryfikuje i w Szuhaju nie widzi zadatków na trybuna gnębionego ludu. Toteż logiczny rozwój wypadków musi być doprowadzony do końca: anarchia i wyładowanie okrucieństwa trwa jeden dzień, po czym ład musi powrócić. U Olbrachta zresztą ład dawny, uosobiony nawet w tych samych ludziach. Rok 1918 to nie 1945: W Jeleśni Franczak — wójt i Witkowski — granatowy, nawet jeśli nie służyli Niemcom, nie wrócą do władzy: do głosu dojdzie Wojnar i Stronnictwo Ludowe. Ale czy wraz z nimi Jan Dziura, którego nazywano już przed wojną „Chłopcem z lasu"? Dla Jana Dziury sprawdzianem i próbą potencjalnej wartości społecznej stać by się mogły lata okupacji niemieckiej. „Chłopiec z lasu" ma drogę do partyzantki prędzej otwartą niż ktokolwiek inny. Co do mnie, wątpię jednak, czy by na nią wstąpił. Albowiem Jan Dziura taki, jakim go pokazuje Kurek, to człowiek stanowczo bliższy leśnemu rozbójnictwu niż leśnej walce o wolność. A rabować i napadać można też w 1946 r.; tylko nazywa się to wówczas inaczej. Las jest niebezpieczną szkołą i nigdy nie wiadomo, do jakich wyników może doprowadzić lub na jakie sprowadzić — manowce. Z lasu wyszli bohaterowie, ale w lesie pozostali bandyci. A szajka bandycka w lesie, to na pewno zły sposób naprawienia świata. Że dobry — myślą dzieci, faszyści i Filon z „Balladyny".

ZBYT OSTRO, ALE CZY NIE SŁUSZNIE?

I jeszcze jednej paraleli nie można pominąć. Karola Maya z jego indianizmem i samouwielbieniem, pisarza zresztą nie na miarę Cooperów, o wiele silniej zapładniającego młode umysły niż zwykło się sądzić. Jaś-Mocne-Dziecko czyż to nie Old-Shatterhand-Grzmocąca-Ręka, a fenomenalny Złoty, koń Janosika, czy to nie genialne arabskie rumaki niezwyciężonego Kara ben Nemzi? Unikanie przelewu krwi, rycerskość, awanturniczość, nieustanny przybór przygód w ramach pierwotnej przyrody — a także naiwne moralizatorstwo i naprawianie zła świata przez wyższą pod każdym względem od otoczenia jednostkę — ależ to Karol May wróżący swoją nieśmiertelną poczytnością powodzenie wdzięcznym uczniom. Szeroka rozpiętość wpływu: od Lafcadia do Old Shatterhanda. Ale te wpływy znów przypominają ich nieoczekiwany rezultat. Jedyną lekturą beletrystyczną Adolfa Hitlera był za młodu Karol May. Nadczłowieczeństwo gustuje w sentymentaliźmie, sprawiedliwości wymierzanej rękami herosa, romantycznym skautyźmie i zwycięskich bitkach. U nas przybierają te cechy wyraz tzw. „polskiej fantazji": hajże na Soplicę, Jan Dziura zmieni zły porządek świata! Jest to bardzo polskie i bardzo nierozsądne.

Z mitologizacji i wspomnianych wpływów i źródeł wywodzi się wreszcie swoisty rasizm i kult krwi, kilkakrotnie zaznaczony w powieści. Nie są to — czyż muszę dodawać?! — jakieś rasistowskie zapędy po klęsce rasizmu; ale są to jednak pewne nieuświadomione westchnienia charakterystyczne dla niektórych pisarzów epoki, która przyniosła renesans mitu Janosików a zrodziła — Horst Wessla.

POEZJA I GEOGRAFIA

Charakterystyczną cechą pisarstwa Kurka jest dwutorowość. Występuje ona w „Janosiku" niejednokrotnie, nie przyczyniając się do wywołania zamierzonej jednolitości wrażenia. Już w „Grypie" śmierć Franka pisana była innym piórem niż perypetie anemicznych panienek w mieście. W „Janosiku" dobra, trafna rzeczowość przeplata się nieraz z kapryśnym, spazmatycznym, niemal histerycznym liryzmem.

Dwutorowość zaznacza się również w oscylowaniu pomiędzy wiernością dla realizmu a naśladowaniem wątków tradycyjnych. Ona też powoduje wrażenie sprzeczności odczuwane zbyt często, by można je pominąć. Z imponującym znawstwem terenu wodzi Kurek swego Janosika od Gorców po Beskid Śląski, po zakamarkach Babiej Góry, Pilska, Romanki... Kto, jak podpisany, również zna z dość dokładnej autopsji te strony, musi topografii Kurka wystawić jak najbardziej pochlebne świadectwo: oto drogi sprawdzalne na mapie, nie w fantazji... Ale skoro tak jest, razić musi tani patriotyzm, który każe góralce z Herdućki na słowackiej Orawie mówić: „my tu wszyscy Polacy na tych wierchach". Znam Herdućkę i okoliczne wsi z „Janosika" jak Mutne czy Wesołe i muszę stwierdzić, że góralsko-polska ludność tych wiosek uważa się powszechnie za Słowaków i znajduje się w niejakim antagoniźmie do ludności z drugiego brzegu Beskidów.

JAJKO KOLUMBA

Toczy się ostatnio wśród pisarzy chłopskich namiętna dyskusja na temat przydatności czy nieużyteczności gwary, przy czym uznanie odrębności dialektycznych jako cennego środka artystycznego najwyraźniej przeważa. Kurek rozstrzygnął w swej chłopskiej powieści problem w sposób praktyczny i — moim zdaniem — jedynie racjonalny: wyrzekł się w ogóle gwary na rzecz języka literackiego. Jest to decyzja, która znajduje uzasadnienie. Poza nielicznymi wyjątkami, utwory o nieprzemijającej wartości nie są pisane gwarą. Gdyż gwara to zaścianek, opłotki, horyzont zwężony do swojactwa, przeszkody niemal nie do pokonania przy próbie wywędrowania w świat i utrzymania się na powierzchni.

Język Kurka — tu wstawiam kilka epitetów pochlebnych — ale nie bez zastrzeżeń. Bo takie np. zdanie: „Kwiaty: samo piękno, skroplone" nic nie znaczy. I najbardziej impulsywny liryzm winien być regulowany rozsądkiem. „Rzeźbiony słońcem grzebień skał mienił się jak żywy. Może to krew z żył malca przesączała się w skraj horyzontu i pulsowała na Tatrach?" Co ma wyrażać, czym się artystycznie lub myślowo może tłumaczyć taka figura poetycka? Nie jest też bezpiecznie, gdy się truizmy lub o wolności wymawia głosem wróżebnym, szamańskim. „Słońce, pociecho nasza, zamierające wiecznie i rodzące się... bądź pochwalone! Opuszczasz tę wieś (Naprawę), ruinę chwały, zarosły chwastami fundament świetności, a jutro narodzi się zbój, który da życiu nowy blask. Będziesz mu wzorem, aby równał ludzi. Bądź mu łaskawe!" Oto słowami autora uzasadnienie twierdzeń krytyka. Daleko odszedł Kurek od futuryzmu. Chwilami tak daleko, że poprzez tetmajerowską nutę wyziera ten sam młodopolski kult siermięgi i kierpców, i uwielbienie „dawnych dobrych czasów", które cechuje epos „Skalnego Podhala".

POWIEŚĆ — RZEKA

Istotną cechą charakterystyczną powieści Kurka są wreszcie jej rozmiary. Cechą, która jest wadą. Nie dlatego, rzecz prosta, że „Janosik" liczy tyle a tyle stron. Ale dlatego, że ładunek myślowy i ideologiczny, a także opisowy, nie wystarcza na zbyt szerokie ramy i że epickość staje się niejednokrotnie rozwlekłością. Opisy przyrody są u Kurka na ogół piękne, samodzielne i wytrzymane; zżycie Głuchaczek z przyrodą, zależność człowieka od jej ciosów i darów jest odtworzona miejscami na bardzo wysokim poziomie. Ale i tu występuje przeładowanie, które w końcu zaczyna nużyć. Płynie to właśnie z zaznaczonej niezdolności do skrótów, do sformułowań zwięzłych i syntetyzujących. Zwartości, zwartości domagają się przede wszystkim czytelnicy od barda dziejów Jana Dziury.

Jalu Kurek jest pisarzem o niezaprzeczalnej indywidualności i własnym punkcie patrzenia na wiele spraw. Nie obce są jego twórczości zainteresowania społeczne i nieraz określał swe poglądy nawet na bieżące zagadnienia. Pisał przecież „Śpiewy o Rzeczypospolitej" i zestawiał w cykl książkowy nawet felietony o tematyce społecznej, drukowane po dziennikach. W całej swej twórczości, od „Andrzeja Panika" do żartów na kanwie „Iliady", daje się jednak ponosić fali literackości, fali koncepcyj literackich bliższych literaturze rozrywkowej niż to sądzić jest skłonny czytelnik, obałamucony wołaniami autora o słuszność i sprawiedliwość, wypowiadanymi z afektacją, mimo to jednak z ujmującą szczerością przekonań i wiarą w słuszność obranej drogi. Wyrazem tej zasadniczej właściwości talentu Kurka jest też jego „Janosik", powieść na tle dzisiejszych spraw anachroniczna, której przede wszystkim należy zarzucić literackość koncepcji i tym samym zawieszenie w próżni. Z ostatecznym sądem wypada się zresztą wstrzymać do czasu poznania całości. Być może — choć pozwalam sobie wątpić — trzeba będzie wówczas poddać złagodzeniu lub wykreśleniu niektóre gorzkie zdania, które zmuszony byłem wyrzec, zwłaszcza pod adresem społecznej historiozofii autora „Wody wyżej".

Jan Alfred Szczepański

IRENA BAROWA

Dzieje jednej przyjaźni

W relacjach, jakie pozostawili współcześni o Tadeuszu Kościuszce, niepoślednie miejsce zajmują zapiski Juliana Niemcewicza, który nie tylko był w najważniejszym okresie jego życia w bezpośrednim z nim kontakcie jako adiutant i szef kancelarii, ale którego łączyły z Kościuszką towarzyskie i przyjacielskie stosunki, zakończone nagłym, niespodziewanym i całkowitym zerwaniem.

Niemcewicz, który z grafomańską pasją zapisywał wszystkie ważniejsze wydarzenia swego życia w pamiętnikach i umieszczał wzmianki o znaczniejszych ludziach swej epoki znanych bodaj tylko ze słyszenia, a cóż dopiero widzianych na własne oczy, pierwsze swe wspomnienia o Kościuszce zachował jeszcze z kadeckich czasów. Kościuszko powrócił wówczas z Paryża, gdzie jako stypendysta kształcił się w inżynierii i doskonalił talent malarski w akademii.

„Pierwszy raz go ujrzałem, gdy przyszedł do korpusu odwiedzić dawnych towarzyszów swoich, mógł mieć wówczas lat 24. Oczy miał duże, smętne, twarz bladą, postać dość przyjemną. Najbardziej uderzył mnie w nim do samego pasa gruby warkocz włosów naturalnych, czarną wstążką obwinionych".

Był to rok 1774. Niemcewicz liczył sobie lat 17; przyszły adiutant był w szkole kadetów, a ten, który miał naród prowadzić do wyzwolenia, piastował już rangę kapitana, ale jako czczy tytuł. Uczył się jeszcze Niemcewicz prawideł „Katechizmu kadeckiego", gdy Kościuszko i kochał się nieszczęśliwie i na roli daremnie chleba szukał, by wreszcie wylądować za oceanem, gdzie patent czyli nominację na inżyniera w randze pułkownika otrzymał w armii Stanów Zjednoczonych, zaciągnąwszy się do niej ku obronie wolności amerykańskiej. Powrócił po zwycięskiej wojnie, by na krótko zostać ziemianinem województwa brzeskiego i wówczas zetknął się z Niemcewiczem posłującym na Sejm Czteroletni z tegoż właśnie województwa.

NIEMCEWICZ PROTEKTOREM KOŚCIUSZKI

Nawiązał Kościuszko korespondencję z Niemcewiczem starając się o przeniesienie do dywizji litewskiej, bo powołany z powrotem do wojska podjął służbę w brygadzie dywizji wielkopolskiej. Dwukrotnie pisał w tej sprawie, a Niemcewicz dnia 20 lutego 1790 r. donosi, że poczynił starania w stanach, tj. w sejmie, „abyś JWMDobrodziej powrócony był nazad do dywizji Litewskiej i książę Sapieha przyrzekł to w Komisji wyjednać" (Zbiór rękopisów PAU, nr. 1171). Między Kościuszką a Niemcewiczem były wtedy stosunki konwencjonalne, zacieśniające się jednak szybko. Niemcewicz staje się informatorem w sprawach politycznych, pisze coraz bezpośredniej: wylewnie i serdecznie; a chociaż wiekiem młodszy rad udziela, trzymając rękę na pulsie wydarzeń dziejowych. W liście z 10 stycznia 1792 r. pisał: „Na Boga i Ojczyznę zaklinam, użyj wszelkiej władzy i roztropności swojej, żeby oficerowie w służbie będący nie dyskutowali o rządzie, nie szkalowali zwierzchności i ustaw, które zaprzysięgli; byłoby to największe dla kraju nieszczęście, gdyby wojskowi na partie dzielić się mieli..." Zakończenie listu nie tylko serdeczne, ale i pochlebne dla Kościuszki: „wiesz, że dla mnie największą jest chlubą zwać się przyjacielem tak cnotliwego i powszechnie szanowanego obywatela" (rks. PAU, nr 1171). W roku 1792 zawiązała się więc między nimi przyjaźń, nieprzerwanie trwająca przez lat cztery z górą; dzieje jej miały w sobie tyle czaru wzniosłego oddania, bezgranicznych poświęceń i tkliwości, co rozgoryczenia, aż wreszcie doszło do zupełnego zerwania i nieledwie śmiertelnej urazy.

Z PROTEKTORA PODWŁADNY

Nie sądził Niemcewicz zalecając gorąco Kościuszkę sejmowi, że niedługo, bo za lat cztery, obejmie przy nim funkcję adiutanta. Gdy Targowica przekreśliła owoce Sejmu Czteroletniego, wielcy reformatorzy i patrioci nie mogąc uratować wolności ojczyzny chronili za granicą wolność osobistą. Na emigracji nie zasypiają sprawy polskiej.

Kołłątaj stawia na Francję i spotyka go zawód. Francuzi po kupiecku obliczyli, że 12-milionowa pożyczka dla Polski nie ma żadnej gwarancji, bo proponowana hipoteka na starostwach i dobrach narodowych „jest zbyt nieokreślona i za mało bezpieczna, by na nią liczyć było można". Drugą przyczyną niepowodzenia dyplomatycznych zabiegów był nasz, według oceny francuskiej, problematyczny republikanizm. Sorel w „L'Europe et la révolution" pisał, że „Polacy nie pojmują wszechwładztwa ludu i nie zdołają wywołać zaburzenia w Rosji".

Gdy Kołłątaj trzymał rękę na pulsie zagranicznym, Kościuszko słał do kraju emisariuszy i odbierał raporty, a nawet z Lipska udał się pod Niepołomice i nie poznany przyjmował meldunki od gen. Zajączka o stanie i duchu armii w Warszawie. Oddziały podlegające Madalińskiemu i Działyńskiemu oraz nastroje ludności napełniły go optymizmem i w tym nastroju udał się do Włoch. We Florencji zetknął się z Niemcewiczem. Nie zwierzał mu jednak swych planów. Na wezwanie jednego ze swych emisariuszy w tajemnicy najgłębszej udał się do kraju, a Niemcewicz najspokojniej ruszył na oglądanie uroczystości wielkopostnych w bazylice Piotrowej. Niemcewicz pośpieszył do Polski dopiero na wieść o zwycięstwie racławickim i po A. Linowskim został adiutantem Kościuszki w randze majora.

Osobliwy był to adiutant, bo chociaż jak Kościuszko ukończył szkołę kadetów i chociaż później był i przy gen. Adamie Czartoryskim adiutantem, wojskowy tryb życia wcale go nie nęcił. Na magnackim dworze Czartoryskich spełniał obowiązki pośrednie między sekretarzem osobistym, lektorem a zaufanym księcia, wysyłanym w różnych delikatnych materiach nawet do ościennych dworów.

I taką samą niemal rolę odgrywał przy boku Kościuszki, o czym świadczy jego biograf pisząc, że „Niemcewicz zastępował nieraz przy Naczelniku miejsce jakoby ministra spraw zagranicznych, pisał jego listy i odezwy, na chwilę od niego nie odstępował, spał w jego namiocie, był powiernikiem jego najskrytszych myśli i cierpień. A Kościuszko trudnym był do zwierzeń". (A. Czartoryski, „Żywot Niemcewicza", str. 102).

LITERACKA FANTAZJA I RZECZYWISTOŚĆ

Tylko zbyt upraszcza Czartoryski sprawę twierdząc, że Niemcewicz był powiernikiem najskrytszych myśli Kościuszki. Przeczą temu pamiętniki samego Niemcewicza, który się z tylu spowiadał tajemnic swoich i cudzych, prywatnych i publicznych. O ile Kościuszko trudny był do zwierzeń, o tyle Niemcewicz łatwy do notowania każdej z nim rozmowy. Biograf Naczelnika najwięcej znajduje materiału w tych właśnie wspominkach, ale materiału zaprawionego mocno literacką fantazją. Niemcewicz bowiem, chociaż nosił oficerskie dystynkcje, nie tyle okazywał do oręża zapału ile do pióra, mniej go interesowała mająca się nazajutrz rozegrać bitwa pod Maciejowicami, niż stare gazety znalezione w splądrowanym pałacu Lubomirskiej; makaronizmami tych gazet zabawiał Kościuszkę. „Wątpliwą przez to wyświadczył przysługę, gdyż odciągnął uwagę od spraw pilniejszych, wojskowych" — cierpko zaznaczył Korzon, ale niepotrzebnie piętnuje adjutanta-literata, który widząc zdenerwowanie Naczelnika brakiem wiadomości od Ponińskiego, pragnął go tylko rozerwać i uspokoić. Troski nie potrafił zabić, skoro tejże nocy o w pół do drugiej Kościuszko obudził go i wtóry do Ponińskiego kazał pisać rozkaz natychmiastowego przybycia z posiłkami. Niestety Poniński się spóźnił, co dało znany epilog bitwy pod Maciejowicami, której Niemcewicz jako naoczny świadek najobszerniejszy zostawił opis. Ile w nim prawdy i rzeczywistych faktów, a ile fantazji literackiej i kolorystyki wspomnień, można się przekonać chociażby z konfrontacji ze wspomnieniami innego naocznego świadka Józefa Drzewieckiego, który w „Pamiętnikach" (Kraków, 1891) zapisał: „Niemcewicz zaraz w rękę postrzelony kazał mi ją ścisnąć chustką, aby go ujście krwi nie osłabiło. Spełniłem jego żądanie; chciwy pamiątki po sobie rozkazał mi, jeśliby zginął, zawiadomić każdego, że go pierwsza rana spotkała, gdy Brześcian do ataku prowadził" (str. 30). Kiedy go obstąpili Dońcy, „prosił o pardon" (str. 31).

Można niezupełnie wierzyć Niemcewiczowi, jeśli chodzi o szczegóły bitwy, ale nie przesadził i nie skłamał na włos pisząc o bohaterstwie Kościuszki, który pierś w pierś, oko w oko walczył z przeważającym nieprzyjacielem. Wymownym świadectwem relacji pamiętnikarza były — poszarpana bagnetem noga, blizny na piersiach i rana głowy.

SPRZYSIĘŻENIE LOSU I RÓŻNICE CHARAKTERÓW

Gdy omdlały z ran Kościuszko ocknął się 11 października 1794 r. na słomie obok swego adiutanta, dowiedział się z jego ust o klęsce i niewoli, i usłyszał niby uroczystą przysięgę słowa: „Jestem przy tobie i nie opuszczę cię". „Jaka pociecha w nieszczęściu mieć tak wiernego przyjaciela" — była odpowiedź wzruszonego do łez wodza. Niewątpliwie przywiązany gorąco Niemcewicz dawał swe przyrzeczenie tym szczerzej, że widział Kościuszkę bezsilnego, rannego, w poniewierce; zresztą powtórzył je w dniu uwolnienia z twierdzy Petropawłowskiej. Los jednak sprzysiągł się przeciw postanowieniu Niemcewicza — i to od początku. Drogę do Rosji odbywają razem. Na etapach mogą się komunikować i rozmawiać do woli. Dopiero 10 grudnia Niemcewicz z gen. Fiszerem zostają wprowadzeni do wielkiej sali w twierdzy Petropawłowskiej, Kościuszko wniesiony do bocznego gabinetu i od tej chwili nie widują się z sobą przez lat blisko dwa.

Niemcewicz usiłuje nawiązać z Kościuszką korespondencję. W pierwszym przesłanym liście skarży się na ciężkie warunki więzienne i brak spaceru, błaga, by wódz wyjednał mu możliwość pobytu koło siebie. Miał więc Niemcewicz informacje o znacznie lepszych warunkach bytowania Kościuszki, którego ze względu na poważny stan zdrowia Katarzyna poleciła umieścić najpierw w domku Stegelmana z ogródkiem, a wreszcie w pałacu Orłowa, skąd mógł nawet powozem wyjeżdżać na miasto w towarzystwie urzędnika-dozorcy. Ponieważ miał ochotę zająć się tokarką, dostał warsztat i majstra do nauki.

Na swe błagalne pismo Niemcewicz doczekał się odpowiedzi z zapewnieniami przyjaźni, ale i z prośbą, by więcej nie ponawiał prób przesyłania tajnej korespondencji. Gdy adiutant prośbę zlekceważył i znów przesłał list, Kościuszko przez sługę zawiadomił go tylko, że list otrzymał. Niemcewicza napełniło to goryczą. Nie zdawał sobie dokładnie sprawy ze stanu psychicznego Kościuszki, z prostolinijności jego na wskroś prawego charakteru. Kościuszko do pisania nie był wtedy skłonny w ogóle, jak świadczą z trudem widocznym skreślone odpowiedzi na pytania prokuratora Samojłowa. Rana głowy powodowała ostre bóle newralgiczne i utrudniała skupienie myśli. Również same zeznania świadczą, że wolał raczej przemilczeć sprawy, na które nie mógł dać szczerej odpowiedzi, niż kręcić i kłamać. Odpowiada rzeczowo, krótko, trzymając się faktów, po żołniersku znosi ból, na niewolę nigdzie się nie uskarża.

Inaczej Niemcewicz.

W swych zeznaniach jest literatem przede wszystkim; przeczy nawet faktom tak oczywistym jak ten, że był szefem kancelarii Kościuszki, nie zdradza żadnego z uczestników powstania, Kościuszkę stara się nawet osłaniać, a powstanie przedstawić jako rewolucję nie polityczną, ale społeczną. Pod adresem carycy Katarzyny, tej Katarzyny, na którą najostrzejsze za czasów Sejmu Czteroletniego, a później Targowicy, pisał paszkwile, uderzył nawet pod koniec zeznań w ton niemal błagalny, odwołując się do jej wspaniałomyślności i prosząc, by ulżyła doli uwięzionych.

Nigdzie różnice natur Niemcewicza i Kościuszki nie zarysowały się tak jaskrawo, jak właśnie w tonie tych zeznań więziennych. Odpowiedzi na pytania niemal identyczne wypadły zgoła odmiennie nie tyle pod względem faktycznym, ile w sposobie ujęcia i naświetlania wypadków.

Kościuszko skryty, zawzięty, lakoniczny, dumny, samotnik, w sobie zamknięty z natury — pisał krótko, jasno, bezpretensjonalnie, zachowując obiektywizm. Niemcewicz — wylewny, gadatliwy, złośliwy i ambitny — chociaż się uskarża, że ból ręki przeszkadza mu pisać — potrafił niemal dwa razy więcej napisać niż Kościuszko — po prostu pasja pisarza i literacka fantazja nawet w tym wypadku szukały ujścia.

W DRODZE KU WOLNOŚCI I ROZSTANIU

Uwolniony został Niemcewicz, podobnie jak inni więźniowie polityczni powstania, dzięki wstawiennictwu Kościuszki u cara Pawła. Kościuszko ujrzawszy swego adiutanta podobno się rozpłakał i błagał, by mu Niemcewicz towarzyszył w drodze do Ameryki: „Widzisz, w jak niedołężnym jestem stanie, ni moralnie, ni fizycznie rady sobie dać nie mogę". Niemcewicz odparł: „Nie chcę cię do końca opuszczać, pojadę z tobą".

Czy istotnie składał wielką ofiarę wyrzekając się oglądania siwego ojca, uściskania braci i sióstr i przyjaciół — jak przedstawił w pamiętnikach wiele lat później, po nagłym zerwaniu tej niezwykłej, z jego strony namiętnej niemal przyjaźni? Z pewnością nie. Propozycja Kościuszki wydała mu się wówczas raczej ponętna; on tak rozmiłowany w podróżach, nałogowy włóczęga i globtrotter miał okazję poznania Nowego Świata — Ameryki. On, który wprost cierpiał na manię zawierania i utrzymywania koneksji z najwybitniejszymi i najgłośniejszymi osobistościami swej epoki, czyż mógł pominąć tak doskonałą okazję, jak pokazanie się za granicą przy boku Kościuszki, bohatera wojny Stanów, Naczelnika walczącego o wolność swej ojczyzny i wreszcie byłego więźnia carycy?

Byłoby jednak zbyt krzywdzące dla Niemcewicza pomawiać go tylko o snobizm. Niewątpliwie jego dobre, wrażliwe serce odegrało ważną, chociaż nie jedyną w decyzji towarzyszenia Kościuszce rolę. Dowodów, że uczuciu przyjaźni towarzyszył jednak snobizm, znajdziemy wiele podczas podróży. Kościuszko z natury skromny, unikający hołdów i rozgłosu, a przede wszystkim schorowany i psychicznie zgnębiony, chciał podróż do Ameryki odbywać niemal incognito. Stanowczo się sprzeciwiał, by go portretowano, nie udzielał reporterom wywiadów, nie pragnął być widowiskiem publiczności.

A Niemcewicz teraz właśnie był w swoim żywiole. Jeśli nie miał zdolności militarnych i dyplomatycznych, to jako szef propagandy był niezrównany. Mimo surowych zakazów Kościuszki, potrafił ułatwić portrecistom pracę (bodaj przez szparę w firance), wywiadów udzielał na prawo i lewo i to nie tylko na dłuższych postojach. Szwed Alstromer z Gothenborga otrzymał nie tylko artykuł o Kościuszce, ale dał mu też Niemcewicz notatkę o sobie zaklinając, by o tym nikomu nie wspominał i artykuły wydrukował dopiero po opuszczeniu przez Kościuszkę Szwecji.

Nie inaczej poczynał sobie Niemcewicz w Ameryce. Na tym też tle musiały powstawać między przyjaciółmi scysje. Następne wyłoniły się, gdy Kościuszko otrzymał od Kongresu swą zaległą generalską pensję z procentami i chciał zaraz carowi odesłać pieniądze. Niemcewicz twierdził, że obraziłoby to Pawła i ściągnęło nienawiść na rodaków w kraju. Przewidywania były zresztą całkiem słuszne, bo gdy dnia 12 sierpnia 1798 r. z Paryża Kościuszko postanowienie swe wykonał i odesłał nie tylko 12 tysięcy, ale jeszcze wystosował ostry i cierpki list, którego tekst opublikowały „Amis de Lois" i „Moniteur Universel", car Wszechrosji był dotknięty — dumny Polak nie tylko odrzucił jego łaskawy dar, ale jeszcze uznał, że przysięgę na wierność złożył po uwolnieniu z więzienia pod przymusem.

Na coraz silniejszy rozdźwięk między Kościuszką a Niemcewiczem, poza różnicami charakterów, wpływał sam bieg codziennych dni. Niemcewicz z chwilą uwolnienia z więzienia z roli podwładnego wszedł w rolę niejako opiekuna. Był istotnie kierownikiem ciężkiej wyprawy. Troszczył się o pomieszczenie, żywność, konie, co wyrobiło w nim poczucie władzy, decyzji i odpowiedzialności. Miał nad chorym przyjacielem stanowczą przewagę, która musiała stawać się coraz uciążliwszą dla Kościuszki w miarę powrotu do sił i zdrowia. Na skutek bierności Kościuszki miał Niemcewicz z początku łatwe zadanie; ranny był narzędziem jego woli, upodobań i zamysłów. Potem Kościuszko zaczął decydować sam. I tak nie przyjmując zaproszenia Washingtona musiał wywołać niezadowolenie Niemcewicza, który skwapliwie podążył po jego odjeździe do Mount-Vernon, wiejskiej posiadłości prezydenta. Momentów niezadowolenia i zadrażnień przybywało coraz więcej, do zerwania dojść musiało, chociaż może nie w tak nagły, nieoczekiwany sposób.

ZERWANA PRZYJAŹŃ

Nie żegnając się z Niemcewiczem, nie uprzedzając go o swym wyjeździe, Kościuszko zdawał sobie sprawę, że przekreśla przyjaźń dawnych lat, ale miał powody. Nie chciał stanowczo, aby przedwcześnie odkryto jego wyjazd z Ameryki i dlatego polecił przez Jeffersona, któremu zawdzięczał fałszywy paszport francuski, by Niemcewicz wyjechał do Virginii jakoby za nim do wód, na kurację. Wiadomości, jakie otrzymał o formacjach legionów Dąbrowskiego we Włoszech, nie były może zbyt jasne i nie chciał wciągać Niemcewicza do spraw jeszcze dalekich i niedostatecznie skrystalizowanych, a może miał w sercu jakieś jeszcze osobiste urazy, skoro z Francji wysłał tylko krótką kartę z pozdrowieniami ujętymi w cztery wiersze... Niemcewicz był dotknięty do żywego. Rozżalony do łez, w pamiętniku pod datą 4 maja 1798 r. zapisał:

„Gdy w Petersburgu zaklinał mię, abym jechał z nim, czyliż mógłbym się spodziewać podobnego zakończenia?"

Nie dane było Niemcewiczowi spotkać więcej Kościuszki. Lata zabliźniły ranę, ale niezupełnie, jak dowodzi jeszcze za życia Naczelnika pisany wiersz „Widmo", w którym przestrzega Kościuszkę przed wywołaniem powstania:

„Wstrzymaj się mężu nad przepaści brzegiem
Tych orłów białych, tych ojczystych znaków
I już ostatnich rycerstwa orszaków!"

Widmem jest on sam, a Kościuszko precz go odpędza.

OBIEKTYWIZM I KULT

Mimo osobistej urazy, mimo rozczarowania, Niemcewicz do końca zachował obiektywny stosunek do osoby Kościuszki, co więcej zachował dla niego kult.

Gdy w końcu października 1817 r. dotarła do niego wiadomość o śmierci Kościuszki, zapisał te słowa w „Pamiętniku": „Był to wielki miłośnik wolności, cnotliwy, odważny, wytrwały, tęgość duszy stawała mu za wiele świetnych przymiotów. Ja, com jego w czasie rewolucji 1794 r. w bojach pod Maciejowicami nie odstępował, przyświadczyć to mogę" („Pamiętniki z lat 1813—1820", t. II, str. 349). Lapidarna to, ale bodaj najtrafniejsza w naszej literaturze charakterystyka Kościuszki.

Na egzekwiach żałobnych urządzonych 17 listopada 1817 r. w kościele św. Krzyża w Warszawie miał Niemcewicz mowę pogrzebową, w której po raz pierwszy publicznie przedstawił, czym jest dla narodu polskiego Kościuszko. Równie trafnie nikt tego i później nie uczynił.

„Wspomnieć imię Kościuszki" — mówił Niemcewicz — „jest to wzniecić w sercach polskich tysiąc chlubnych, acz smutnych pamiątek, wzór cnót obywatelskich, tę do zgonu czystym płomieniem gorejącą miłość ojczyzny, tę nieustraszoną w bojach odwagę, tę mężną wytrwałość w nieszczęściach, tę prostotę obyczajów rzymską prawie, tę na koniec skromność nieoddzielną od prawdziwej wartości".

Wspomniał jeszcze Niemcewicz Kościuszkę pisząc wiersz w 30 rocznicę klęski maciejowickiej, wspomniał i podczas Powstania Listopadowego, robiąc analogię między Insurekcją Kościuszkowską a 1830 rokiem. Kult dla Kościuszki zachował do końca życia i przekazał bezpośrednio swemu pasierbowi — Piotrowi Kean.

W dawnej posiadłości Niemcewicza w Ameryce, w pobliżu Elisabeth Town, zwanej Ursino, przechowuje się obraz, prawdopodobnie pędzla ówczesnego malarza historycznego Orłowskiego, przedstawiający przysięgę Kościuszki na Rynku krakowskim. Tutaj też, jak podał Z. Prumbs w artykule „Tam gdzie żył adiutant Kościuszki J. U. Niemcewicz" („Nowy Świat — The Polish Morning World", 19 czerwca 1938 r.) znajduje się cenna pamiątka — ustawa kongresu, na podstawie której przyznano Kościuszce pensję w sumie 12 800 dukatów za wybitne zasługi w walce o niepodległość Stanów. Tam również jest maszynopis — angielskie tłumaczenie pamiętników amerykańskich Niemcewicza, w których tyle wzmianek o Kościuszce.

Adiutant nie zapomniał o wodzu. Cokolwiek można by zarzucić świadectwu Niemcewicza, trzeba przyznać, że chociaż pękła struna przyjaźni, to przekazał kult Naczelnika Narodu potomnym w najpełniejszej formie — bezpośredniości przeżyć.

Irena Barowa

Miesięcznik wojskowy „Bellona"

Wznowienie „Bellony" zostało postanowione jeszcze w Lublinie w październiku 1944 roku. Zrealizowanie nie było rzeczą łatwą, bo brakowało papieru, drukarni a przede wszystkim autorów wojskowych. Z brakiem autorów walczyła „Bellona" jeszcze w okresie przedwrześniowym. Już wówczas teka redakcyjna zapełniała się opornie i gdy zabrakło prof. Tokarza, pismo zaczęło ukazywać się nieregularnie, powstawały nawet wielomiesięczne przerwy, co wreszcie zmusiło redakcję do przejścia z miesięcznika na dwumiesięcznik. Trudności te były wielokrotnie większe u schyłku 1944 roku, kiedy trwały działania wojenne, kiedy korpus oficerów był całkowitą improwizacją, a z przedwojennych autorów wojskowych został bodaj tylko jeden. Wydawało się, że w tych warunkach wznowienie „Bellony" i to w postaci miesięcznika jest decyzją ponad ówczesne siły naszego wojska. Pomimo to „Bellona" po pewnych oporach w pierwszej połowie 1945 roku osiągnęła wystarczającą regularność. Objętościowo rocznik zawiera 761 stron druku z licznymi szkicami i jako dodatek pierwszy zeszyt „Przeglądu Wojskowego" poświęcony obcej myśli wojskowej. Jest to wielki dorobek i stanowi wyłączną zasługę redakcji tym bardziej, że nie miała i nie ma żadnej pomocy ze strony komitetu redakcyjnego.

Te trudności należy sobie uświadomić, gdy chcemy dać bezstronną ocenę dotychczasowego dorobku „Bellony". Trudno bowiem wymagać, ażeby w ciężkich warunkach nasze najpoważniejsze pismo wojskowe osiągnęło już w pierwszym roku wznowienia wysoki poziom. Niedociągnięcia były nieuniknione i nie można się im dziwić. Zaznaczamy je z dobrze pojętego obowiązku recenzenta, któremu zależy, ażeby nasz czołowy organ wojska był rzeczywiście dobry.

Na pierwszy rzut oka zwraca uwagę znaczny procent nieoryginalnych prac. Stanowi on prawie połowę ogólnej ilości artykułów. Składają się na nie tłumaczenia lub przeróbki z obcej prasy wojskowej. Jest to bezsprzecznie ujemna strona wydawnictwa. Trzeba rozumieć przyczyny, ale trzeba je też podkreślić. Nie można uważać „Bellony" w jej pierwszym roku istnienia za nasz oryginalny dorobek, lecz w znacznym stopniu za reprodukcję obcej myśli wojskowej. „Bellona" czerpała pełnymi wiadrem z radzieckiej prasy wojskowej. Jednak już w drugim półroczu procent oryginalnych prac wyraźnie się podniósł. Mamy nadzieję, że rok bieżący przyniesie dalszą i rozstrzygającą poprawę. Tak bowiem należy rozumieć wznowienie „Przeglądu Wojskowego", który powinien pochłonąć wszystkie tłumaczenia i streszczenia obcej literatury wojskowej.

Drugą stroną ujemną jest stosunkowo mała ilość autorów piszących do „Bellony" (około 30 w ciągu roku). I to jest zrozumiałe, jeśli się zważy, że wojna jeszcze trwała, a od jej zakończenia musi upłynąć sporo czasu, zanim zamieni się szablę na pióro. Redakcja zdaje sobie jednak sprawę z konieczności pozyskania nowych autorów i czyni w tym kierunku wysiłki. Trzeba iść zdecydowanie tą drogą, bo mamy pod tym względem smutne doświadczenia z czasów przedwrześniowych, kiedy to polska myśl wojskowa zaskorupiała w przetrawianiu doświadczeń kampanii 1920 roku i pierwszej wojny światowej przez prawie zamknięty zespół autorów wojskowych.

Trzecią stroną ujemną jest prawie zupełny brak artykułów o charakterze polityczno-wojskowym przy znacznej ilości prac z dziedziny taktyki różnych broni, które powinno się umieszczać w innych, specjalnie do tego przeznaczonych miesięcznikach. Jeżeli to drugie tłumaczy się całkowicie faktem, że ze wszystkich periodycznych pism wojskowych „Bellona" została wznowiona pierwsza i że dlatego musiała przez dłuższy czas służyć najbardziej palącym potrzebom wojska (wyszkolenie na szczeblu taktycznym), to pierwsze nie znajduje dostatecznego wytłumaczenia. Niewątpliwie w naszej periodycznej prasie wojskowej zagadnienia bezpośrednio związane z wojskiem muszą mieć główne znaczenie, ale w okresie, w którym cała Polska powinna wykonać zwrot o 180 stopni od błędnych drogowskazów z czasów niewoli i z czasów przedwrześniowych, niesposób na łamach czołowego pisma wojskowego odsunąć daleko w cień zagadnienia stanowiące nasze „być albo nie być". Tym bardziej, że największe nasze doświadczenia z okresu minionej wojny są niewątpliwie natury politycznej, co nie przeszkadza, że wojskowi powinni walnie przyczynić się do wydobycia ich na jaw i przedstawienia narodowi. Na ich pracy odbiła się bowiem przede wszystkim błędna koncepcja polityczna Polski Piłsudskiego i Śmigłego, a później niemniej błędna rządów emigracyjnych i ich krajowych ekspozytur. To wojskowi powinni powiedzieć, dlaczego i do jakiego stopnia zadania postawione wojsku przez polityków były niewykonalne, były fantastyczne i w czym tkwiły błędy tej rzeczywistości. Powinni także powiedzieć, jakie są nasze dzisiejsze realne możliwości wojskowe i co trzeba zrobić, ażeby nie dać się wytrącić z siodła tego realizmu i ażeby w przyszłości mieć szanse powodzenia.

Należy przypuszczać, że to zagadnienie stanie w całej powadze przed redakcją „Bellony" w roku 1946 i że zostanie z powodzeniem rozwiązane. Jest to bowiem praca już znacznie łatwiejsza od tych, które „Bellona" rozwiązywała zwycięsko w ciągu ubiegłego roku, kiedy trzeba było wykonywać wielką robotę pionierską od podstaw.

Jerzy Kirchmayer

STANISŁAW WITOLD BALICKI

Odwiedziny teatralne

ROZKOCHANIE SIĘ W CIERPIĘTNICTWIE

Wśród ruin, wypalonych ulic Warszawy — lśni błękitem i złotem, płonie świeżością i światłem, odbudowany i pierwszy upaństwowiony, dawny teatr Szyfmana. Po dawnemu sprawny technicznie, po dawnemu gromadzący na afiszu nazwiska, po dawnemu myślący i czujący. Wybór „Lilli Wenedy" na uroczystość otwarcia teatru w rocznicę wyzwolenia stolicy, sceniczne opracowanie tej ponurej i krwawej historii oraz zapowiedzi repertuarowe świadczą, że będzie to jeszcze jedna scena eklektyczna, bez wyraźnego oblicza społecznego i artystycznego, bez oblicza nowego.

Częstowanie mieszkańców Warszawy, po latach martyrologii i największych na nich dokonanych zbrodni, właśnie „Lillą Wenedą" wywołało, jak wiele bardzo istotnych problemów dnia dzisiejszego, nadzwyczaj letnią dyskusyjkę czepiającą się drugo- i trzeciorzędnych szczegółów utworu Słowackiego, najczęściej symbolów, które tak łatwo zawsze naginać i aktualizować, — natomiast nie rozważono, jakie były przeżycia i doznania, jaką jest dzisiejsza psychika słuchacza i widza, na jaki grunt pada dziś często nieodpowiedzialna, bo nielogiczna i niekonsekwentna historiozoficzna wizja poety. Jedynie korespondent „Kuźnicy" podkreślił dobitnie, że w patriotycznej literaturze romantyzmu „dramat Słowackiego wprowadzał motywy lubowania się klęską, czulenia się, rozpływania nad własną porażką, szukania w niej wdzięków i powabów. Patriotyczno-bojowe wątki literatury romantycznej przechodzą tutaj w estetyzację klęski, co rzecz oczywista, sprowadzać musiało zanik motywów bojowych".

Na próżno tu i ówdzie usiłowano zwrócić uwagę na użytkowe wartości tezy, przejętej choćby od Lelewela, że Lechici, od których wywodzi się szlachta polska, to element obcy, napływowy, jaki zwyciężył po ujarzmieniu Wenedów, warstwy chłopskiej, będącej istotnym przedstawicielstwem narodu i jego kultury... Na próżno kierownictwo teatru w swej wypowiedzi programowej, wygłoszonej do chłopów z całej Polski (Kongres S. L.), tłumaczyło wybór sztuki tym, że okrucieństwa Lecha i Gwinony — to przeczucie okrucieństw bezcelowych, jakie przeżywaliśmy pod pięścią niemiecką, a ofiarna śmierć Lilli, czy Lelum i Polelum przypomina nam ofiary młodych współczesnych bohaterów walczących o wolność w latach okupacji. Na próżno, — bo wprawdzie kapłańska przepowiednia Rozy Wenedy ma dawać wiarę w nasze odrodzenie z popiołów, ale właśnie ta zapowiedź jest niesłychanie mglista, nierealna, jest typową ucieczką **niewierzącego** od nieubłaganej rzeczywistości. Samobójcza ofiara Polelum, ostatnie słowa Rozy, ciskającej pod stopy zwycięzcy kajdany: „Patrz co zostało z twoich niewolników!" — mają równie tragiczny swą beznadziejnością wydźwięk, jak pieśń „Warszawianki": „Kto przeżyje wolnym będzie, kto umiera wolny już...", z którą aż po ostatnie powstanie szła do boju bohaterska ludność Warszawy, równie tragiczny, jak chorał „Z dymem pożarów, z kurzem krwi bratniej (!)"..., przesyłany na falach z zachodu dla walczącej i ginącej stolicy...

Obłęd rozlubowania się w cierpiętnictwie trwa dalej. Jego ślady, echo tej „Lilli Wenedy", znajdujemy nawet w „Masławie" Zawieyskiego. Nic dziwnego, pisany był w dniach okupacji.

Niebezpieczny ton przedstawieniu inaugurującemu odrodzony i państwowy Teatr Polski nadała niewłaściwa inscenizacja **Juliusza Osterwy,** niepoprawnego „cierpiętnika", który zdecydowanie „uszekspirował" widowisko, dał mu kształty realistyczne, zatracając zupełnie baśniowość i poetyczność dzieła. Nawet bajka o czynach Lilli miała charakter realistycznego dramatu. Nieprzekonywujące dekoracje **Borowskiego,** nadużywanie kotar, przedziwny sposób wygłaszania wiersza, pomieszanie patosu dykcji i ruchów z naturalistyczną swobodą, — dało przy widocznym wielkim nakładzie pracy wcale nużącą operę. A tymczasem „Lilla Weneda", podobnie jak „Balladyna", wymaga przeniesienia widza w zupełnie inny, baśniowy nastrój odczuwania i myślenia.

Również aktorsko przedstawienie nie jest ciekawe, każdy gra sobie. Najwybitniejszą kreację daje **Barszczewska** w roli tytułowej, subtelne uosobienie liryzmu, nie płaczliwego, ale pełnego wdzięku i życia. Ślaz **Osterwy** dla wielu jest rewelacją; dawną kapitalną rolę charakterystyczną wzbogacił teraz o nowe szczegóły komizmu. **Buszyński** (Derwid), **Brydziński** (Lech), **Pancewiczowa** (Gwinona) — dostojnie operowi; **Broniszówna** (Roza) zawiodła brakiem siły demonicznej i jednostajnością tonu; **Grolicki** dał szlachetnego św. Gwalberta, wbrew intencjom poety, który tą postacią krytykował dewocyjność i dwuznaczną rolę polityki Kościoła.

W latach okupacji, przygotowując w Warszawie nowy teatr dla wyzwolonego kraju, planowali Leon Schiller i Iwo Gall rozpoczęcie działalności wystawieniem „Akropolis". Nic słuszniejszego jak przezwyciężanie cierpiętnictwa — poezją, głoszącą nowe prawa na ruinach przestarzałych osiągnięć.

ŚWITANIE

Teatr Wojska Polskiego w Łodzi uruchomił tzw. „scenę poetycką", która — równolegle do społecznej, codziennej działalności teatru, pomyślanej jako spełnianie obowiązków wobec najszerszych mas — ma odgrywać rolę artystycznego laboratorium udoskonalania sztuki aktorskiej, „poszukiwania dla niej nowej formy, postulowanej przez konsekwencje wielkiej burzy dziejowej" (jak się wyraża program). Repertuar tej sceny ma być tak dobierany, aby był najlepszym materiałem do opracowywania zagadnień artystycznych aktorskiego rzemiosła. Ma to być praca obliczona na dalszą metę, „studia nad sztuką teatru i aktora, które — znów cytuję program — kiedyś podniosą może na poziom wyższy służbę społeczną teatru".

Na otwarcie „Sceny Poetyckiej" (kierownictwo: **E. Wierciński** i **B. Korzeniewski)** wybrano wystawioną przed samą wojną w Paryżu, a u nas nieznaną sztukę w 2 aktach Jana Giraudoux „Elektra", w przekładzie Jarosława Iwaszkiewicza. Sama sztuka niesłychanie ciekawa i oryginalna, a jej opracowanie sceniczne jest niezawodnie najwybitniejszym osiągnięciem artystycznym naszego teatru w odrodzonej Polsce. Jeżeli po kilkunastu tygodniach przygotowywań i prób (przy innych zajęciach) zespół potrafił dać spektakl, równający się najlepszym przedstawieniom przedwojennej Warszawy, to rokujący najlepsze nadzieje dowód, jak ta placówka jest potrzebna. Jest to niewątpliwie teatr dla elity umysłowej, ale bynajmniej nie artystowski, teatr również **społecznie** ważny i konieczny.

Giraudoux, podejmujący w „Elektrze" wątki starych legend greckich, wprowadza jednak ludzi współczesnych, rozważających zagadnienia gnębiące nieśmiertelnie człowieka w każdej epoce, w każdej rzeczywistości, pod każdą szerokością i długością geograficzną. Giraudoux zmusza do myślenia i głębokich rozważań; „publicystyką teatru" — nazwał kiedyś swój utwór. A zapytany o przewodnią myśl „Elektry" odpowiedział: „Ludzkość przez łatwość zapominania i obawę komplikacji wchłania największe zbrodnie. Ale w każdej epoce zjawiają się istoty czyste, które nie chcą dopuścić, aby te wielkie zbrodnie były wchłonięte i temu wchłonięciu sprzeciwiają się nawet przez użycie środków, które powodują nowe zbrodnie i nowe klęski". Tą istotą czystą jest w sztuce Giraudoux Elektra.

Elektra nieubłaganie dąży do prawdy i sprawiedliwości, znając dobrze tragizm „zwyczajnej ceny" ich osiągnięcia: nowe nieszczęścia i zbrodnie. Jest wrogiem potulnego podporządkowywania się człowieka tzw. losowi. Ludzkość bowiem, zdaniem autora, wyrażonym w sztuce przez Prezesa Sądu Najwyższego, przedstawiciela mieszczańskiego spojrzenia na świat, — „jest cała jednym wysiłkiem do kompromisu i zapomnienia. Wszystko raczej w życiu (— sąd ludzkości przeciętnej —) idzie ku lepszemu. Cierpienie moralne goi się prędzej od wrzodu, a żałoba przechodzi jak jęczmień". Tę kompromisowość, łatwość godzenia się z losem, niechęć do zmieniania wygodnego, choćby niesprawiedliwego porządku rzeczy, zagnieżdżona w duszach ogółu, zna dobrze i wykorzystuje władca Egistos, chcący Elektrę wydać za ogrodnika, zagrzebać ją w mieszczańskiej przeciętności. Odnalezienie się jednak jej brata Orestesa budzi w Elektrze „siłę fatalną"; walczy już teraz z żelazną konsekwencją i pełną świadomością o zwycięstwo najszlachetniejszych dążeń. Zbrodniarze, Egistos i jego kochanka, mężobójczyni Klitemnestra, giną, ale ten wymiar sprawiedliwości i tryumf prawdy pociągają za sobą nieszczęścia inne i niewinne ofiary. Bo bogowie, jak twierdzi za Giraudoux Egistos, to nie są „ani wielkie uwagi, ani wielkie obojętności". Nie zajmują się bez przerwy „pleśnią ziemi, jaką jest człowieczeństwo". Sprowokowani do sądzenia spraw ludzkich, działają arcynieludzko, „hurtowo": „Wojna wybucha, kiedy jakiś naród wyradza się i upadla, ale pożera ona ostatnich sprawiedliwych, ostatnich mężnych, a ocala najtchórzliwszych... Zawsze ludzkość płaci w sumie..."

Pisany w „czasach pogardy", które musiały ściągnąć lata sądu i zniszczenia, utwór ten bynajmniej nie ma wygłosu klęski i beznadziejności. Przeciwnie, odrodzenie wśród ruin i na zgliszczach jest realne, bliskie. Orestesa, by dokonał sprawiedliwości, uwolnił tłum nędzarzy, który rozsiadł się wśród walących się kolumn dotychczasowego „porządku" i rozważa przez usta we frygijską czapkę strojnej kobiety: „Jak się to nazywa, kiedy dzień wstaje jak dzisiaj i wszystko stracone, wszystko zrujnowane, a **mimo to oddycha się swobodnie** i kiedy wszystko zostało zmarnowane, i miasto się pali, i niewinni mordują się nawzajem, ale zbrodniarze konają w tym zakątku, gdzie wstaje dzień?" — Odpowiada Żebrak, od początku sztuki kontrolujący wszystko i wszystkich: — „To się bardzo ładnie nazywa... **To** się nazywa **świtanie"**.

„Publicystyka teatralna" Giraudoux, postulująca w przeddzień nadchodzących lat wojny dopiero dziś aktualne rewolucyjne świtanie, nasycona jest najczystszą poezją o filozoficznej głębi, przy szlachetnie prostej i pełnej wdzięku formie poetyckiej i teatralnej. Nadzwyczaj wrażliwe i czujne majsterstwo Wiercińskiego nie uroniło nic z trudnych walorów dzieła, dało całości płynny rytm zbiorowości, umiejętnie ogniskując uwagę na poszczególnych postaciach łączących dostojność poetyckiego antyku ze swobodą współczesnej formy. Pięknie architektonicznie i malarsko rozwiązane dekoracje **Teresy Roszkowskiej,** jak i jej pomysłowe kostiumy, ilustracja muzyczna **Romana Palestra** podkreślały wyraziście i dyskretnie zarazem nastrój utworu. Skomplikowany mechanizm ról znalazł doskonałych odtwórców. **Jan Kreczmar** (Egistos) jest bezsprzecznie jedną z największych przyszłości naszego aktorstwa. Tekst mówi niezrównanie, gra skupiona, swobodna. Odważnie, ze szlachetnym umiarem i dużą siłą tragicznego wyrazu ujęła Elektrę **Zofia Mrozowska.** Burzliwą psychikę zbrodniczej a na wskroś kobiecej Klitemnestry świetnie wygrała **Zofia Małynicz.** Filozoficznie zadumanym nad światem Żebrakiem jest pełen godności **Zelwerowicz.** Zmysłowym szczęściem uroczo dyszy Agata **Ant. Góreckiej,** a **Stanisław Łapiński** daje opanowanie groteskową sylwetę Prezesa Sądu itd., itd. (Role Elektry i Żebraka dublują: **H. Kossobudzka** i **J. Woszczerowicz).**

Odwiedziny teatralne w Łodzi (nie samą „Elektrą" Łódź żyje) przekonują, że tu najżywszy i najciekawszy jest nurt teatralny, najlepsze zapowiedzi na przyszłość (Schiller! Schiller!!), że poczciwy Kraków, który miał wielkie apetyty i takież możliwości na stworzenie najbogatszego i najpracowitszego ośrodka ruchu teatralnego, sam ze swych zadań zrezygnował.

Stanisław Witold Balicki

KRONIKA FILMOWA

„Chłopiec z naszego miasta", film produkcji sowieckiej, scenariusz **K. Simonowa,** reż. A. Stolper i W. Iwanow.

Jest to jeden z wielu propagandowych filmów rosyjskich, jakże potrzebnych w czasie wojny, bo ukazujących widzowi tężyznę armii sowieckiej i pobudzających do patriotycznych czynów poświęcenia i wytrwania; — data produkcji r. 1942. Mimo pewnych psychologicznych i sytuacyjnych uproszczeń w scenariuszu i mimo chropawej miejscami gry aktorów, film w całości ma dość walorów artystycznych, by go nie wykluczyć z repertuaru i na czasy pokojowe i pokazać poza granicami ZSRR.

Mamy przed sobą paczkę studentów i studentek na wiele lat przed wojną, bo w r. 1932. Rozprasza się ta paczka po wszystkich kątach rozległego kraju. Serioża poświęca się karierze wojskowej w Omsku, jego ukochana Waria jedzie do Moskwy kształcić się w śpiewie, ich przyjaciel znowu studiuje medycynę. Rok 1936 — Serioża zostaje delegowany do Hiszpanii i tam bierze udział w wojnie domowej. Tylko przez cudowny zbieg okoliczności wychodzi stamtąd żywy. Wraca i poślubia Warię. Rok 1941 — Serioża jest tankistą na froncie, już w stopniu pułkownika. Waria koncertami uprzyjemnia czas rekonwalescentom w szpitalu wojskowym. Ten moment jest najciekawszy i warto się przy nim zatrzymać. Do szpitala dostaje się ranionu Serioża (radosne przywitanie z Warią) i w tymże szpitalu naczelnym chirurgiem jest dawny nieśmiały w miłości doktorek, obecnie świadomy swych celów — żołnierz na posterunku. Pełne filmowe walory ma właśnie scena dokonywanej przez niego operacji. Słychać raz po raz warkot nieprzyjacielskich samolotów, krążących gdzieś poza szklaną ścianą sali operacyjnej. Nagle trzask — lecą odłamki szkła. Wszyscy stoją, operacja odbywa się dalej, tylko chirurg mówi: „kończcie sami", i odchodzi na bok, by zwalić się na podłogę śmiertelnie raniony. Serioża ślubuje sobie pomścić śmierć przyjaciela, przed czasem zwalnia się ze szpitala, przebija się do swojej jednostki otoczonej przez wroga, a potem już szarżuje czołgami — rów nie rów, most rozwalony nie most — w pierwiod!

Z aktorów najlepsza była L. Smirnowa jako Waria, naturalna w miłosnych odruchach i obdarzona ładnym głosem, M. Bogolubow stworzył szlachetną postać doktora. Sam bohater (M. Kriuczkow) — nieurodziwy, ale pełen fantazji.

„Antoni Iwanowicz gniewa się", film produkcji sowieckiej, scenariusz **E. Pietrowa.**

Papa Antoni Iwanowicz uznaje tylko muzykę chorałową, na pierwsze śniadanie Bacha, na obiad Bacha itd., portret mistrza w peruce wisi na poczesnym miejscu w jego pracowni. Córeczka natomiast Sima, uczennica konserwatorium, ma głos koloraturowy i czuje pociąg do lżejszej muzy, w tajemnicy więc przed tatusiem zamierza debiutować w operetce, w dodatku w utworze scenicznym sympatycznego Aleksandra, który z początku był dla niej tylko natrętem z ulicy, a potem stał się kolegą i ukochanym. Mnóstwo stąd powikłań i okazji do wytrysków humoru sytuacyjnego i charakterologicznego, zwłaszcza że młoda para (L. Celikowska i P. Kołocznikow) jest otoczona plejadą doskonałych komików (poroniony kompozytor, primadonna, która nie może wziąć 4 razy wysokiego „c", jej mąż, komik operetkowy i tancerz, dyrygent i jeszcze parę epizodów).

Żeby papa Antoni Iwanowicz zrozumiał wreszcie, że nie tylko poważna muzyka organowa ma rację bytu, musi do niego zejść we śnie z portretu sam Bach i zapewnić go, iż on sam miewał też pokusy komponowania muzyki operetkowej. I jeden i drugi gatunek jest potrzebny, a ważne jest tylko, by utwory były napisane z talentem, a pan Antoni nie chciał w to uwierzyć w kapitalnej kłótni z profesorem śpiewu.

Sima produkuje na premierze ton o trzy interwały wyższy od wysokiego „c", zdobywa aplauz i narzeczonego, a potem dopiero, po przeforsowaniu swego zdania, oboje mogą sobie pozwolić na wystąpienie z koncertem symfonicznym, by ich lekka muza nie wyglądała tylko na... podkasaną.

Komizm w tym filmie jest wysokiej próby. Poza dowcipną i zręcznie powiązaną anegdotą obiektyw przychwytuje na gorąco jakby przypadkowe śmieszności ludzkie. Jest w tym naturalnie pewne wyolbrzymienie cech komicznych, groteska, ale smaczna; analogii do tego gatunku w literaturze trzeba by szukać w nowelistyce rosyjskiej, gdzieś między Czechowem a Zoszczenką. Nic dziwnego, że film był nagrodzony i bawił już dobre parę milionów widzów.

Marian Promiński

KRONIKA KULTURALNA ZSRR

NAGRODY IM. STALINA

W końcu stycznia ogłoszono uchwały Rady Komisarzy Ludowych ZSRR w sprawie nagród stalinowskich za lata 1943 i 1944, tym razem przyznanych nie tylko za wybitne prace w dziedzinie nauki, sztuki i literatury, ale również za wybitne wynalazki i gruntowne udoskonalenia metod produkcji.

Trzy listy nagrodzonych zajmują cztery kolumny gazety „Prawda". Nagrody wynoszą po 200 tysięcy, 150 tysięcy, 100 tysięcy i 50 tysięcy rubli. Listę nagród naukowych rozpoczyna S. Wawiłow, prezes Akademii Nauk ZSRR i dyrektor Instytutu Fizyki im. P. Lebiediewa. Nagrody dotyczą odkryć w dziedzinie badań nad elektronami, teorią równań różniczkowych, teorią rozchodzenia się fal radiowych, rozpraszania się światła, mikrostruktury płynów i kryształów, zjawiska samorozpadu uranu — w grupie nauk matematyczno-fizycznych. Spośród nagród technicznych zwracają uwagę badania nad aerodynamiką samolotu przy większych szybkościach lotu i nad hydrodynamiką wód gruntowych, — z chemicznych: badania nad chemią ciał radioaktywnych, organiczną katalizą, chemia izotopów, spektroskopią chemicznych reakcyj gazowych.

Kilka nagród w grupie nauk geologiczno-geograficznych przyznano za zbadanie Kazachstanu, Kaukazu, złóż rud chromoniklowych i żelaznych w południowym Uralu, zapasu wód w rzekach przemysłowego Uralu oraz metodyki ich obliczania. W dziedzinie biologii zwraca uwagę nagroda K. Bykowa za badania nad fizjologią mózgu. W naukach agronomicznych przyznano nagrody: za naukowe opracowanie i wprowadzenie do praktyki rolniczej systemu pól trawiastych w warunkach stepowych, północnej południowo-wschodniej strefy, za nowe metody hodowli mikrobów i sporządzenie z nich preparatów, które zyskały szerokie zastosowanie w walce z zakaźnymi chorobami u zwierząt domowych, za otrzymanie nowych kultur ziarna i owoców, za naukowe opracowanie systemu uprawy soi w strefie północnej.

Spośród nauk lekarskich godzi się nadmienić opracowanie nowych chirurgicznych metod leczenia ran wojnych. Najskromniej przedstawia się grupa historyczno-filologiczna, w której figurują tylko dwaj nagrodzeni: S. Małchasian za słownik języka ormiańskiego i B. Piotrowski za dzieło: „Historia i kultura Urartu".

Druga, najobszerniejsza, lista nagrodzonych jest najbardziej interesująca, daje bowiem wgląd w dziedziny działalności, kierunki i rodzaje zainteresowań naukowych, ich najściślejszy związek z życiem praktycznym, przede wszystkim z zagadnieniem obrony, pod której znakiem stało wszystko w ZSRR w latach drugiej wojny światowej.

Spis nagrodzonych w tym dziale jest pochwałą dobrze wykonanego zamówienia społecznego.

Premie zostały przyznane za: opracowanie konstrukcji nowego typu morskiego uzbrojenia artyleryjskiego, nowego typu karabinu maszynowego, nowego typu działa, turbiny parowej i generatora o mocy 100 tysięcy kilowatów, udoskonalenie technologii i organizacji wysokoprodukcyjnej metody wytwarzania dział, która zapewniła wydatne zwiększenie fabrykacji przy obniżeniu zużytego metalu i siły roboczej, za nowy typ ciężkiego samochodu artyleryjskiego, odkrycie i zbadanie geologiczne złóż ołowiu na północno-wschodzie ZSRR, udoskonalenie technologii i organizację metody masowego wytwarzania ciężkich czołgów, nowy system przyrządów celowniczych artylerii okrętowej, nowy typ działa czołgowego; za opracowanie konstrukcji i technologii wytwarzania hydroturbin i generatorów, konstrukcję nowego aparatu myśliwskiego „Iliuszin 10" i udoskonalenie myśliwca „Iliuszin 2", opracowanie metody otrzymania ciał chemicznych o ważnym znaczeniu obronnym, prace geologiczne, które doprowadziły do stworzenia bazy surowcowej dla przemysłu aluminiowego Uralu, nowy typ motoru dla samolotu, nową aparaturę łączności, nowy typ ciężkiego czołgu, organizację masowej produkcji średniej wielkości czołgów, nowe typy przyborów optycznych, budowę nowej radiostacji, opracowanie konstrukcji nowego typu okrętu wojennego; za odkrycie i zbadanie złóż ołowiu na wschodzie i południowym wschodzie ZSRR, złota na północnym wschodzie, konstrukcję nowego myśliwca „Jakowlew 3" i udoskonalenie myśliwca „Jakowlew 9", opracowanie składu i technologii obróbki nowych, lekkich stopów zastosowanych szeroko w budowie samolotów, odkrycie i zbadanie fosforytów zagłębia Karatau, nowy typ przyrządów celowniczych samolotu, budowę własnego typu dieslów okrętowych; za odkrycie i przyswojenie nowych złóż wanadu w Kazachstanie, konstrukcję nowego typu myśliwca „Ławoczkin 7", nowy typ uzbrojenia samolotu, uzyskanie nowych kultur jagodowych i wprowadzenie ich na Ałtaju, uzyskanie nowych gatunków ziemniaka „Lorch" i „Korenlewskij", opracowanie nowych metod szybkiej budowy i montażu wysokich pieców; za nowy typ motoru samolotowego, opracowanie nowej metody otrzymywania ważnych produktów chemicznych z frakcyj naftowych, wynalezienie nowych przyrządów dla poddawania próbom aerodynamicznym samolotów, opracowanie i wprowadzenie nowego rodzaju surowca dla produkcji prochu strzelniczego, nowy typ automatycznego pistoletu-kaemu, nowy typ miotacza min wraz z nabojami; za zbudowanie motorów Diesla dla czołgów, organiczne szkło, wyhodowanie nowej, wysokoprodukcyjnej rasy owiec merynosów („kaukaski rambulie"), opracowanie i wprowadzenie w życie metod spawania elektrycznego i cięcia metalu pod wodą, wynalezienie metod błyskawicznej fotografii promieniami Roentgena i zastosowanie do badania procesów wybuchu i uderzenia, technologię otrzymywania metali z rud sulfido-miedzio-niklowych; za odkrycie i zbadanie geologiczne — północno-tergańskiego rejonu węglowego, nowy typ samolotu-helikoptera, opracowanie metody otrzymywania chemicznego produktu o ważnym znaczeniu obronnym, opracowanie i wprowadzenie w produkcję nowej metody otrzymywania ferro-wolframu i wolframu z szeelitowych koncentratów, nowe przyrządy dla nocnych zdjęć fotograficznych dokonywanych z samolotu, metodę otrzymywania drożdży białkowych z surowca nieżywnościowego; za nowe typy przyborów spadochronowych, udoskonalenie technologii garbowania skór, wyhodowanie wysokowartościowych gatunków soi, wynalezienie nowych typów min, opracowanie konstrukcji aparatu telegraficznego drukującego litery, wzniesienie nowych typów automatycznych stacyj radio-meteorologicznych zastosowanych w Arktyce i na frontach, wynalezienie maszyn dla produkcji szklanych próbówek; za nową szczepionkę przeciw ospie u owiec, udoskonalenie metod hodowli i karmienia świń i wynikłe stąd postępy w produkcji mięsa, nowy gatunek buraka cukrowego „Ramonskaja 1537" o zwiększonej zawartości cukru, opracowanie nowych typów radiostacyj, nową technologię odlewu wież ciężkich czołgów, prace z dziedziny syntezy preparatów sulfamidowych, opracowanie nowych metod zmiękczania wody i pozbawiania jej soli przy użyciu materiałów organicznych; za opracowanie nowej metody sporządzania szczepionki przeciw tyfusowi plamistemu, opracowanie i szerokie zastosowanie w praktyce lekarskiej nowej metody aktywnej immunizacji przeciw tężcowi, nowy typ aerofotoaparatu, odkrycie złóż wolframu w środkowej Azji, nowe konstrukcje wież radiowych znacznych wysokości, nowy typ aparatury radiowej, odkrycie złóż rud niklowych w południowym Uralu; za opracowanie i wprowadzenie do przemysłu nowej metody wytwarzania spirytusu etylowego z miazgi drzewnej, nowe metody szybkiej budowy pieców martenowskich w Czelabińsku, technologię metody masowej produkcji obrabiarek, detali motorów lotniczych i całych fabryk samolotów.

Wreszcie trzecia lista. W dziale muzyki wśród nagrodzonych jest J. Szaporin za oratorium „Opowieść o bitwie o ziemię rosyjską", N. Miaskowski za kwartet nr 9, R. Glier za koncert na głosy z orkiestrą, dyrygent N. Gołowanow, pianista E. Gibels, kwartet im. Beethovena. W dziale malarstwa m. in A. Gerasimow i M. Awiłow („Pojedynek na Kulikowym Polu"), w dziale rzeźby: Z. Azgur i S. Orłow, architektury: W. Gelfreich i J. Rożyn za projekty stacyj moskiewskiego metro.

Z wystawionych sztuk teatralnych nagrodzono „Ostatnią ofiarę", „Zwiad", „Najazd", „Otello", „Spotkanie w ciemności" i „Nesterka" — premiami pierwszego stopnia, nagrody drugiego stopnia przyznano za „Pygmaliona" i „Miasto mistrzów" oraz S. Obrazcowowi za pracę w teatrze kukiełek. Głównymi nagrodzonymi w dziale opery są: W. Dawidowa, A. Danielian (za rolę Antonidy w operze „Iwan Susanin" i Małgorzaty Valois w „Hugenotach") M. Litwinenko-Wolgemut i M. Maksakowa, w dziale baletu: K. Siergejew.

W kinematografii pierwsze nagrody zdobyły filmy: „Kutuzow", „Iwan Groźny" (seria pierwsza), „Zoja", „Georgij Saakadze" i „Tęcza", drugie: „Najazd", „O szóstej wieczorem po wojnie", „Człowiek nr 217", „Ona broni ojczyzny". Ponadto kilka filmów dokumentarnych: „Odrodzenie Stalingradu". „W sprawie zawieszenia broni z Finlandią", „Mściciele narodu", „W piaskach środkowej Azji" i „Prawo wielkiej miłości".

Na koniec literatura. W dziale prozy nagrody po 100 tysięcy rubli otrzymali: W. Szyszkow za powieść „Emilian Pugaczew" i A. Stiepanow za powieść „Port Artur", nagrody po 50 tysięcy rubli: B. Gorbatow, W. Kawierin, W. Wasilewska („Po prostu miłość") i K. Simonow.

W dziale poezji 4 nagrody pierwszego stopnia: A. Kuleszow („Sztandar brygady"), A. Twardowskij („Wasilij Tiorkin"), A. Surkow (pieśni i wiersze), M. Łoziński (przekład „Boskiej komedii" Dantego); cztery nagrody stopnia drugiego otrzymali: P. Antokolski (poemat „Syn"), G. Gulam („Idę ze wschodu"), L. Pierwomajski i A. Prokofiew.

Za dramaturgię pierwszą nagrodę otrzymał (pośmiertnie) Aleksy Tołstoj za „Iwana Groźnego", drugą S. Marszak za „12 miesięcy".

js

O stację naukową Polskiej Akademii Umiejętności w Moskwie

Współpraca na polu kultury i nauki jest bezsprzecznie czynnikiem, który najbardziej zbliża narody, wzbudza w nich uczucia wzajemnej sympatii i wzajemnego zrozumienia.

Zbliżenie między narodem polskim i narodami Związku Radzieckiego, zrodzone w walce i zwycięstwie nad wspólnym wrogiem, oprze się na trwałych podstawach, jeżeli zostanie pogłębione przez ścisłą i stałą wymianę myśli twórczej w dziedzinie kultury i nauki. Poczynania Ministerstwa Kultury i Sztuki, Ministerstwa Oświaty, wydziału wschodniego MSZ, Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej, Komitetu Słowiańskiego oraz wydziału kultury i nauki przy Ambasadzie Rzeczypospolitej Polskiej w Moskwie dowodzą, że zrozumienie konieczności realizacji tych prawd jest u nas powszechne. A jednak zrozumienie to jak dotychczas nie objęło Polskiej Akademii Umiejętności. Jest to tym dziwniejsze, że Polska Akademia Umiejętności, która wkrótce będzie świecić 75-lecie swego istnienia, posiada wspaniałe tradycje organizowania współpracy kulturalnej między naszym narodem i innymi narodami żyjącymi z nami w przyjaźni. Poza czynnym udziałem w Union Internationale Academique oraz Conseil International des Unions Scientifiques, PAU posiada dwie stacje naukowe w Paryżu i w Rzymie. (Jest rzeczą zrozumiałą, że w czasie wojny praca w tych stacjach była przerwana).

Biblioteka Polska w Paryżu, powstała dzięki darowi Paryskiego Towarzystwa Historyczno-Literackiego, ma swój własny dom przy Quai d'Orleans, bogate zbiory książek i rękopisów. W ciągu swego więcej niż półwiekowego istnienia pod zarządem Polskiej Akademii Umiejętności Biblioteka była oparciem dla polskich uczonych pracujących we Francji oraz dla Francuzów interesujących się rozwojem polskiej kultury i nauki. Staraniem Biblioteki urządzono szereg cyklów odczytowych o Polsce oraz wystaw, z których najbardziej wspaniałą była wystawa pamiątek po Fryderyku Chopinie i George Sand. Od 1934 r. istnieje przy Bibliotece Centre d'Etudes Polonaises posiadające katedry historii literatury polskiej, nauki o Polsce współczesnej oraz historii wojska polskiego. W Centre młodzi Francuzi mają możliwość systematycznego studiowania i wykonywania prac naukowych.

Stacja naukowa w Rzymie, mieszcząca się w Palazzo Doria, zorganizowana została w roku 1927, ale początek jej działalności sięga także poprzedniego wieku i związany jest z udostępnieniem przez papieża Leona XIII dla badań naukowych Archiwum Watykańskiego. Stacja rzymska posiada trzy działy: historii polskiej, historii sztuki oraz historii naszego piśmiennictwa i literatury. W stacji urządzono wiele odczytów oraz wydano drukiem szereg niezwykle wartościowych prac naukowych opartych na materiałach znajdujących się bądź w bibliotece i archiwum watykańskim, bądź też w innych włoskich bibliotekach i archiwach. Wspaniałe osiągnięcia prac stacji naukowych w Paryżu i w Rzymie pozwalają sądzić, że zorganizowanie podobnej stacji w Moskwie zapoczątkuje zakrojone na szeroką skalę prace badawcze i dydaktyczne; powstanie jej będzie niewątpliwie powitane najserdeczniej zarówno przez naszych, jak też radzieckich uczonych.

Takie przedstawicielstwo nauki polskiej ułatwi szczególnie młodym radzieckim uczonym interesującym się Polską wykonanie prac naukowych, a przez organizację wykładów o Polsce polskich i radzieckich uczonych, wystawy sztuki polskiej itp. pozwoli zapoznać społeczeństwo radzieckie z przejawami kultury naszego narodu. Powstanie takiego przedstawicielstwa umożliwi również dokładne informowanie polskich uczonych i polskiego społeczeństwa o pracach i osiągnięciach radzieckich instytucji naukowych.

Powstanie przedstawicielstwa będzie punktem oparcia dla Polaków, którzy zechcą pracować naukowo w Moskwie. W Związku Radzieckim, a szczególnie w Rosyjskiej Republice, znajdują się liczne skarby polskiej sztuki oraz bogate archiwa, w których historycy polscy znajdą niejeden przyczynek do dziejów naszego narodu i naszej kultury. W Związku Radzieckim znajdują się wspaniałe muzea paleontologiczne, etnograficzne i zoologiczne oraz jedyne w swoim rodzaju rezerwaty natury, w których polscy uczeni znajdą podstawę i oparcie dla swojej myśli badawczej. Polscy badacze Wschodu oraz polscy badacze Arktyki znajdą w Związku Radzieckim niezwykle cenne materiały dla swoich dociekań. Wreszcie dla polskich uczonych, interesujących się kulturą narodów słowiańskich wchodzących w skład Związku Radzieckiego, stacja stałaby się warsztatem pracy. Organizacja stacji będzie o tyle ułatwiona, że w danej chwili istnieje już jej zalążek w postaci attaszatu kultury i nauki przy ambasadzie Rzeczypospolitej Polski w Moskwie.

Sprawa organizacji stacji Polskiej Akademii Umiejętności ma już swoją historię. Jeszcze w pierwszej połowie lipca ub. r., wkrótce po odjeździe z Moskwy polskiej delegacji na uroczystość 220-lecia Akademii Nauk ZSRR, wśród Polaków, pracujących naukowo w Moskwie, powstała myśl utworzenia moskiewskiej stacji Polskiej Akademii Umiejętności. Odpowiedni wniosek zgłoszono w wydziale naukowym Ambasady Rzeczypospolitej Polskiej, oraz przesłano należycie umotywowany memoriał na ręce sekretarza generalnego PAU, prof. Tadeusza Kowalskiego. O przesłaniu powyższego memoriału zawiadomiony został prezes PAU prof. Stanisław Kutrzeba oraz rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie, prof. Tadeusz Lehr-Spławiński.

Niestety do chwili obecnej Polska Akademia Umiejętności nie tylko nic wszczęła kroków w kierunku realizacji powyższego projektu, ale nawet nie zajęła w tej sprawie żadnego stanowiska. Jest rzeczą dla wszystkich zrozumiałą, że organizacja stacji naukowej wymaga dłuższych przygotowań, ale czas najwyższy te przygotowania rozpocząć. Stacje naukowe w Paryżu i w Rzymie nie od razu miały własne gmachy i wspaniałe zbiory. Zbiory gromadzą się w ciągu lat, tak samo jak w ciągu lat gromadzi się doświadczenie. Ten zasób doświadczeń predestynuje Polską Akademię Umiejętności bardziej niż ministerstwa i komitety do zorganizowania współpracy między wysiłkiem umysłów uczonych i twórców kultury Polski i Związku Radzieckiego.

Ewelin Sitkowski

Muzyka na ulicy św. Jana

Spokojny Kraków jest od pewnego czasu widownią cichego dramatu, dla którego słowo „skandal" nie byłoby słowem zbyt mocnym. Jest to dramat cichy, jeden z tych, co to narastają powoli i trawiąc w ukryciu ludzkie siły wplątanych weń postaci, kończą się nieraz detonacją złych mocy, jakie w nich drzemią od dawna. Mówi się wówczas: skandal. Kochamy skandale wśród naszych przyjaciół i krewnych, ale nawet dla szyderców istnieją wartości godne opieki i ochrony przed złą sławą. Dlatego ubolewamy z głębi serca, że przedmiotem naszej troski jest w dzisiejszym wypadku krakowski teatr TURu, którego dokonania i dzieje budzą obawy, czy scena ta, przeznaczona dla oświecenia najszerszych warstw ludności, nie padnie po ostatniej premierze ofiarą zemsty publicznej. „Muzyka na ulicy", która rozbrzmiewa z desek scenicznych przy ul. św. Jana, ma wszelkie cechy owej detonacji, wybuchu, wylewu najgorszych pierwiastków, jakie nurtowały ten teatr zapewne od początku jego istnienia.

Dlaczego? Właśnie o to pytamy. Słowa powyższe nie wynikają z czego innego, jak tylko z niemożności zrozumienia spadkowej linii poziomu jedynej sceny TURu, którą dysponuje Kraków. Teatr ten ma wszelkie dane, aby rozwijać pożyteczną działalność: posiada doskonałe warunki lokalowe i młody, zdolny zespół pełen najlepszego zapału. Dlaczego więc po zrozumiałych i dopuszczalnych początkach, jaką była premiera „Lata w Nohant", a nawet „Kresu wędrówki", obserwujemy na scenie TURu zastraszające objawy niżu artystycznego, o czym świadczą ostatnie przedstawienia: „Ostrożnie, świeżo malowane" i opłakana, żałosna „Muzyka na ulicy"? Kto w teatrze TURu reprezentuje TUR, a komu zależy, aby gusty artystyczne publiczności krakowskiej padały ofiarą najbardziej płaskich i jałowych utworów, jakie kiedykolwiek wymyśliła ludzka wyobraźnia? Z premiery „Muzyki na ulicy" wynosi się wrażenie, iż przedstawiciel TURu w Teatrze Kameralnym został fizycznie obezwładniony i pozbawiony prawa głosu przez jakiegoś wroga nr 1 podwawelskiego grodu i okolic. To pospolite, upokarzające smak widza niemieckie sztuczydło było grane w Krakowie w roku 1939 przez siewców kultury Trzeciej Rzeszy, niebawem po ich wkroczeniu do miasta i oddaniu teatru im. Słowackiego w ręce niemieckiej trupy. TUR wznawia więc piękne tradycje sceny polskiej! Ogarnia jednak niepokój na myśl, jakim to zrządzeniem niemiecka szmira zdołała uzyskać licet komisji teatralnej w Ministerstwie Kultury i Sztuki. Kto ten utwór w Warszawie czytał i komu się spodobał?

Ów obrazek z życia niemieckiego lumpenproletariatu, pełen fałszywego sentymentu, płaskiego humoru i zastraszająco naiwnej moralistyki, napełnia zgrozą w połączeniu z trzema słowami, wypisanymi na tarczy teatru przy ul. św. Jana: Towarzystwo Uniwersytetów Robotniczych. „Muzyka na ulicy" Schureka nie ma na pewno nic wspólnego ani z towarzystwem, ani z uniwersytetem, ani z robotnikami; wszędzie bez wyjątku musiałaby wzbudzić niesmak artystyczny i obrzydzenie. W spektaklu marnuje się kilka niewątpliwych talentów aktorskich, a pewne wybitne nazwisko nie powinno widnieć pod firmą reżysera tego wytworu najpospolitszych uczuć i wyobraźni o sztuce. Jest to mylące i szkodliwe. Szkoda wysiłku ludzkiego na mierzwę artystyczną. Szkoda dobrej wiary publiczności, dla której TUR powinien być symbolem troski o podniesienie poziomu oświaty i kultury mas. Szkoda ładnej sali przy ul. św. Jana. Szkoda młodych i jakże zdolnych aktorów. Żal wreszcie tych wszystkich, którzy z tej przestrogi nie wyciągną pożytecznych wniosków: że każda placówka artystyczna w dzisiejszej Polsce musi stawiać sobie za cel podnoszenie poziomu ponad gusty i chęci przeciętności. W przeciwnym wypadku stanowi czynnik ujemny społecznie.

Kazimierz Brandys

Chrońmy biedaków przed szaleństwem!

Aby uchronić nędzarzy przed szaleństwem, należy szeroko stosować tzw. „wizyty dobroczynne". Czytajmy:

„Wizyty dobroczynne. Bywają dwie kategorie takich wizyt. Jedne składa się prawdziwym biednym, mrącym z głodu i zimna, — drugie osobom, których nie można wesprzeć datkiem doraźnym, a które jednak potrzebują pomocy.

...Wybierając się do biednych, trzeba się ubrać bardzo skromnie! nie trzeba ukazaniem się swoim w dzielnicy ubogiej wywoływać sensacji, zbiegowiska i zazdrości. Suknia ciemna, kapelusz zwyczajny, żadnych piór strusich, futer, a tym bardziej klejnotów. Znalazłszy się w domu ubogiego, nie trzeba się cofać wobec brudu i nie odstraszać się zaduchem. Wszak zamiar nasz został powzięty z góry, wykonajmyż go do końca. **Od czegoż wreszcie posiadamy wyższość umysłową, nasze zasady hygieny, jeżelibyśmy z nich nie skorzystali dla pouczenia maluczkich?...** Wskażmy matce, w jaki sposób mogłaby sobie uprzyjemnić mieszkanko przez czystość i porządek; kazmy jej przewietrzyć mieszkanie i dopilnujmy spełnienia wszystkich poleceń naszych. Jeżeli działwa brudna, rozrzucirana, to trzeba się poświęcić i umyć to biedactwo własnoręcznie. Trudno to coprawda, jakiż to jednak przykład dla zrozpaczonej matki, jaka radość dla jej dziatwy! Jeżeli jaki chory jęczy na tapczanie, trzeba się doń zbliżyć, dać mu parę słów otuchy, zapytać o cierpienia, opatrzyć ranę, gdyby miał jaką... ...Teraz dopiero, rozjaśniwszy słodkim promieniem dobroci ten przybytek nędzy i troski doczesnej, można go opuścić, pozostawiając jałmużnę. **Nie trzeba dawać za wiele naraz; ludzie, nie przyzwyczajeni do posiadania pieniędzy, wobec nich tracą głowę i gotowi są popełnić nie jedno szaleństwo.** Zresztą ponieważ znamy potrzeby tej rodziny, ponieważ przyjrzeliśmy się z bliska jej nędzy, — czy nie mogliby śmy sami zarządzić niezbędnych wydatków? Wszak mamy więcej doświadczenia, więcej czasu od matki tej rodziny! ...Należy się powodować zarówno dobrym sercem, jak i rozsądkiem. ...Widziałem chorą kobietę, która wygodną poduszkę przyjęła obojętnie, — gdy jednak wizytująca ją dama dała jej bukiecik fiołków, biedaczka wybuchła dziękczynnymi łzami.

Oto próbka, jak z ubogimi postępować trzeba, ażeby ich uszlachetnić i na ich rzeczywistą wdzięczność zasłużyć. Niech wizyta nie będzie zbyt krótką — nie udawajmy, że odrabiamy pańszczyznę. Z drugiej strony wizyta zbyt długa mogłaby znużyć biedaków, których zazwyczaj wizyty krępują niepomiernie. Takie odwiedzanie biednych zalecić możemy najgoręcej paniom bezdzietnym. Ileż to cesarzowych otworzy się dla nich! Po wszycie myśli o potrzebach nędzarzy zaabsorbuje je tak dalece, że z pewnością o własnych bólach zapomną!... O wiele przykrzejszą jest wizyta u ludzi ukrywających swoją biedę. Tu musimy się zdobyć na wiele taktu i delikatności, które jedynie serce podyktować nam może. Biedne ofiary jakichś katastrof, niepowodzeń, często ofiary niewinne, niekiedy znowu przeciwnie — z własnej winy stracone w przepaść nędzy i niedoli, złe lub dobre — zarówno godne są naszego współczucia...

Na tego rodzaju wizyty nie wypada ubierać się zbyt elegancko; żadnych barw żywych, żadnych materii, żadnych klejnotów; ale też nie należy ubliżać biednemu zaniedbaniem stroju, co mogłoby świadczyć, że tej wizyty nie traktujemy tak jak innych; słowem trzeba się ubrać starannie, lecz dyskretnie. Wizyty takie składają się o zwykłej porze; a jeżeli odwiedzamy osobę zubożałą, która, nie mając służby, sama sobie gotuje strawę, nie przychodźmyż w godzinę jej zajęć domowych — wizyta nasza byłaby dla niej krępującą i zamiast uradowania, sprawiłaby jej przykrość. Jakiż temat rozmowy obrać należy na takich wizytach?... — unikajmy tu wszystkiego, co może stanowić sferę, bez ostentacji, robienia aluzji do przyczyn, które spowodowały ruinę osób odwiedzanych...

Pozycja niedoli jest źródłem dostatecznych cierpień i bez dolewania goryczy wspomnień. Przez uprzejme współczucie i życzliwość możecie pozyskać zaufanie osoby upośledzonej; wysłuchajcie jej zwierzeń z żywą ciekawością, ale nie dopraszajcie się o nie. W opowiadaniu o swojej niedoli wywnętrzy się ona niekiedy i z win własnych; nie nalegajcie o to: — dość już cierpienia, dość bólu zniosła biedaczka, ażeby ją teraz niewczesne monita spotykać miały.

Należy unikać również takich tematów, które mogłyby obudzić zbyt wiele żalu i zazdrości: nie mówcie o waszych dostatkach, zabawach, przyjęciach, ani też o podarunkach, przeciwnie — bez ostentacji skierujcie raczej rozmowę na troski, jakie dotykają najzamożniejszych, w imię wielkiego i niezwalczonego prawa ogólnej ludzkiej niedoli, które nie wyłączyło nikogo! Ale miara we wszystkim. Nie trzeba się zbytnio rozczulać. Bądźcie też i wesołe, rozjaśnijcie żywym promieniem tę duszę ciemną, ale jej nie urażajcie. Można opowiedzieć np. treść widzianej sztuki w teatrze, przeczytanego romansu modnego; można opowiedzieć coś nie coś o swojej rodzinie, o zdrowiu własnych dzieci; słowem — traktujcie osobę ubogą **jak gdyby była członkiem waszego towarzystwa..."**

Dalsze szczegółowe próbki uszlachetnienia biedaków — w „Skarbcu porad praktycznych dla Polek wszelkich stanów — „Pani Domu", — opracowanym na podstawie licznych źródeł swojskich i obcych" przez Mieczysława Rościszewskiego; str. 387, części sześć: ognisko domowe, dziecko, małżeństwo, pani domu, życie zewnętrzne i obowiązki towarzyskie, dział praktyczny.

I po co te dzisiejsze nietaktowne różnice między „naszym" i „waszym" towarzystwem...

fg

CZTERY PRAPREMIERY

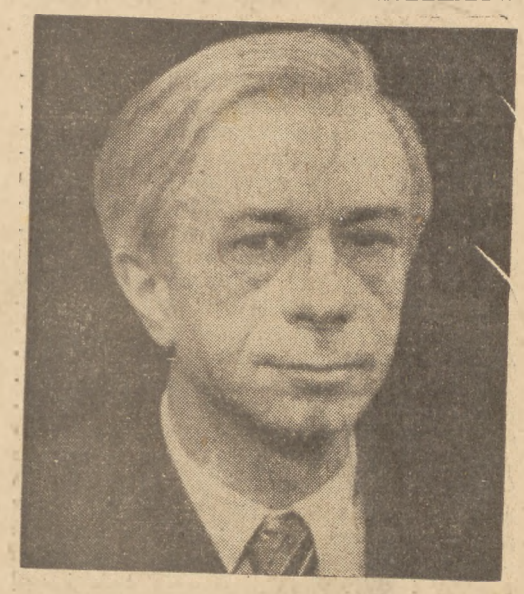

JAN BRZOZA
wystawił w teatrze im. Wyspiańskiego w Katowicach sztukę „Stary dzwon".

STEFAN FLUKOWSKI
jest autorem komedii „Jajko Kolumba" granej w Starym Teatrze w Krakowie.

KRYSTYNA GRZYBOWSKA
wystawiła w Teatrze Ziemi Pomorskiej w Toruniu sztukę „Promieniści".

ARTUR MARIA SWINARSKI
jest autorem „Jasona", który wystawiony został w Starym Teatrze w Krakowie.

EKSPERYMENT

Tym kilku uwagom chciałem dać początkowo formę listu; listu do Stefana Otwinowskiego, jako autora recenzji z „Jajka Kolumba" („Odrodzenie", nr 64). Znam Otwinowskiego od dawna; nieraz walczyliśmy wspólnie, ramię przy ramieniu; czasem rozchodziły się nasze drogi. Wiem, że nic nie może mu sprawić większej przyjemności, niż zapalczywa (byle rycerska!) dyskusja. Jednakże głos mój nie jest ściśle związany z recenzją Otwinowskiego; moje spostrzeżenia godzą nie tyle w to, co krytyk napisał — ile w to, czego nie dotknął, o czym zamilczał. Dyskusja właściwa dopiero się (mam nadzieję) rozpocznie.

„Jajko Kolumba" nie jest chyba jakąś „reprezentacyjną" sztuką Stefana Flukowskiego. Osobiście wolę jego teatr czysto poetycki: „Odyssa u Feaków" i „Horyzont Afrodyty". Wierzę, iż piękne te sztuki zobaczymy niebawem na jakiejś scenie. „Jajko Kolumba" wydaje mi się jednak — interesującym eksperymentem. Jest próbą odnalezienia nowych źródeł komizmu. Czy autor szukał właściwie, czy się nie pomylił? Oto istota zagadnienia. Oto pytanie, dotychczas nie postawione przez krytyków.

Na czym polega eksperymentalny charakter sztuki? Komizm — jak wiadomo — jest problemem spornym. Mam przed sobą wydaną w r. 1925 w Paryżu książkę Piotra Kohlera pt. „L'Esprit classique et la comédie". Inteligentny i sumienny estetyk francuski analizuje w jednym z rozdziałów wszystkie teorie komizmu. Sprowadza je do dwóch typów: 1) komizm powstaje na tle poczucia wyższości człowieka śmiejącego się nad innymi ludźmi (teorie Arystofanesa, Cycerona, Hobbesa); 2) zjawisko to rodzi się na tle jakiejś niezgodności i nieproporcjonalności (Kant, Spencer, Schopenhauer, Teofil Gautier). Bergson w słynnej swej książce „Le rire" („Śmiech"), spróbował stworzyć hipotezę nową: jego zdaniem śmiech wtedy się zjawia, gdy automatyzm zajmuje miejsce nieskończonej bujności życia. Na przykład: środkami wywołującymi komizm są: inwersja, dystrakcja, zmechanizowanie zawodowe, powtórki tego samego motywu w różnych kombinacjach, a przede wszystkim schematyzacja, ujęcie w szablon. Tym tłumaczy Bergson przewagę „typów" nad indywiduami w poezji komediowej (autor „Śmiechu" ma na myśli głównie — Moliera). Obserwacja uogólniająca jest jego zdaniem cechą charakterystyczną komedii; podczas gdy źródłem twórczości tragicznej musi być — indywidualizująca wyobraźnia.

Polemizowano nieraz z Bergsonem wykazując, że komizm nie zawsze musi być związany z owym skostnieniem i mechanizacją — powoływano się na migotliwą zmienność postaci komicznych Szekspira (Falstaff, Poloniusz!). Natomiast za Bergsonem przemawiałoby zjawisko groteski, typowo mechanistyczne — oraz niemal cały obszar farsy. Wystarczy sobie przypomnieć arsenał komicznych środków farsy: bastonada, przewracanie się, przyprawianie rogów mężowi przez żonę, pijaństwo, ułomności fizyczne, lewatywa. Czy to nie są środki mechaniczne?

Otóż „Jajko Kolumba" jest próbą nie tylko odmienną, ale wręcz — diametralną. Należy do tych utworów, gdzie śmieszność polega na rozbijaniu konwencyj mechanicznych.

Oto przykłady:

Przyzwyczajono nas do tego, że detektyw musi być przenikliwy, bystry, zdumiewająco spostrzegawczy. Że wszystko wie, że nic nie ujdzie jego argusowemu oku. Cóż dopiero mówić o królu detektywów, Sherlocku Holmesie! Czasem zdawało się, że trafił na jeszcze sprytniejszego i mądrzejszego przeciwnika; myśleliśmy, że za chwilę zostanie pokonany. Ale nie — on zawsze znalazł się na wierzchu, był niezwyciężony i niezwyciężalny. Jedni autorzy powieści sensacyjnych przypisywali mu świetną logikę, umysł analityczny, kartezjański; inni podziwiali w nim intuicję, zdolność wyczuwania faktów poprzez zżycie się z atmosferą środowiska. Tymczasem w „Jajku Kolumba" właśnie detektyw (ba, król detektywów!) jest mniej sprytny niż własny jego stary, poczciwy służący. Ten płata mu figle, jakby tylko po to, by Holmesa skompromitować jako detektywa. Na tym, wyłącznie na tym (przynajmniej dla mnie) polega komizm sytuacji; wszystko inne ma znaczenie podrzędne.

Podobnego typu komizm reprezentuje u Flukowskiego — Kolumb. Zostaje nie tylko skompromitowany jako eksplorator Ameryki (która sama zaczyna organizować poszukiwania — odkrywcy), ale nawet jako przysłowiowy przedmiot anegdoty o „jajku Kolumba". Śmieszność powstaje tu wręcz jako przeciwieństwo tych cech, które jej przypisywał Bergson. Życie — swobodne i niczym nie krępujące się życie — wtargnęło, by rozbić procesy zesztywnienia.

Nie twierdzę, by komizm tego rodzaju był bezwzględnie oryginalny. Owszem, można wyszukać analogie. Np. przed wojną znana była anegdota o „jasnowidzu" Ossowieckim, który wszystko przewidywał z wyjątkiem — własnej przegranej w bridża. A Bernard Shaw? Podobieństwo wydaje mi się — raczej pozorne. Autor „Pygmaliona" nie odwraca konwencji, nie przestawia ich, nie koryguje, nie porównuje z faktami konkretnego życia. On bawi się ciągłym zmienianiem punktu widzenia. Jego Kolumb byłby w każdej scenie inny, raz odkrywczy, drugi raz naiwny; raz namiętny, a za chwilę zimny; raz inteligentny, kiedy indziej niepojętny. Shaw jest pisarzem niekonsekwencji — a nie pisarzem antytezy. Nie chodzi u niego o odsztywnienie konwencji, ale raczej o świadomy „circulus vitiosus".

Ale nasuwa się wątliwość: czy komizm o założeniach „antyszablonowych" jest możliwy na dłuższą metę? Czy nie jest sprzeczny z podstawowymi prawami rządzącymi ludzkim śmiechem? Oto zagadnienie godne dyskusji. Spotkałem ludzi, których metoda „Jajka Kolumba" bynajmniej nie śmieszy; inni (zdaje się, że jest ich większość) pękają z radości. Gdzie leży przyczyna tej różnolitej reakcji? Kto ma rację? I dlaczego?

Może odpowiedź na to pytanie nie byłaby obojętna dla wszystkich, którzy się interesują tajemniczymi i zawiłymi sprawami sztuki.

Wojciech Natanson

Z ŻYCIA MUZYCZNEGO W KRAKOWIE

Koncert Stanisława Szpinalskiego można by nazwać lekcją entuzjazmu. Kto się nie umie entuzjazmować, ten zerwaną ma nić, co go ze sztuką łączy. Szpinalski jest wspaniałą maszyną do grania, kontrolowaną przez entuzjazm. Daje to entuzjazm do kwadratu, posługujący się środkami, które na słuchaczu sprawiają wrażenie stuprocentowego opanowania, owego sławetnego: „robi co chce" z palcami, klawiaturą, z publicznością też. Wirtuoz z krwi i kości, jeden z bardzo rzadkich, dla którego trudności i trema są bodźcem, a nie hamulcem.

Szpinalski przyjechał ze Zdzisławem Górzyńskim z Łodzi i pod jego batutą odegrał koncert fortepianowy Arama Chaczaturiana, młodego kompozytora radzieckiego. W koncercie tym Szpinalski może się nagrać do syta, tym więcej, że zgranie z orkiestrą jest dzięki Górzyńskiemu zupełne. Są oni jak para najlepszych, równo ciągnących koni. Nikt na drugiego nie czeka, idą równo, poprzez wertepy tego błyskotliwego dzieła porywającego szeroko nakreślonymi tematami, pełną inwencji, choć prostą rytmiką, instrumentacją malowana jakby „grubym pędzlem". W naddatkach usłyszeliśmy dowcipną, świetnie zrobioną i brzmiącą pierwszą część sonatiny Szeligowskiego, obok całego programu „recitalu na bis", zestawionego jednolicie pomimo różnorodności dzieł, w których Mozart rzucał snop światła na klasycyzującego Szeligowskiego, Mussorgski wskazywał drogę, po której kroczy w toccacie Chaczaturian, a Mompou godnie reprezentował współczesną literaturę pianistyczną.

Z. Górzyński dyrygował wykonaniem pierwszej symfonii Bizeta, powstałej z tradycji Rossiniego, Webera, a nawet Mozarta i Haydna. Pełna wdzięcznych, nieraz ludowych tematów francuskich, symfonia ta ukazuje nam Bizeta zatrzymującego się zawsze na czas u drzwi kawiarnianej muzy, do której się nigdy nie zniża. Za to uroczysta uwertura „Rok 1812" Czajkowskiego jest muzyką pełną literatury patetycznej, Marsylianki, hymnów, dzwonów i nużącego napięcia programowego o podejrzanej dziś wartości artystycznej. Zdumiewające jest, jak wielki ten muzyk potyka się o najprostsze zasady dobrego smaku, dążąc zbyt świadomie do wielkości. Na drodze tej niejeden się już przewrócił.

Poranek niedzielny poświęcony był walcom symfonicznym, obok których Górzyński przemycił śliczną suitę „Arlésienne" Bizeta. Reszta była ni to muzyką poważną, ni to lekką: Dohnanyi, Strauss, walc Głazunowa i uwertura Nicolaiego są dziełami, w których liczne rzesze gustują, a które innych po prostu nudzą. Nie mogę nigdy zrozumieć, co odczuwa słuchacz entuzjazmujący się po raz dwóchsetny w życiu „Perpetuum mobile" Straussa czy „Kumoszkami" Nicolaiego.

Wacław Niemczyk jest wspaniałym skrzypkiem, z gatunku wirtuozów wrażliwych, porywających, gdy są w dobrym nastroju. 19 lutego odegrał, przy bardzo dobrym akompaniamencie J. Gaczka, koncert Vivaldiego, III sonatę Brahmsa, Kaprysy Paganiniego, szereg własnych utworów o znakomitej fakturze skrzypcowej oraz efektowne „Tzigane" Ravela. Gdy Niemczyk panuje nad sobą (bo nad skrzypcami panuje zawsze), to pozostawia niezatarte wrażenie „artysty z bożej łaski".

Dwa dni po Niemczyku wystąpił z recitalem Henryk Sztompka z programem chopinowskim. Publiczność wypełniła salę „Świtu" po brzegi, oddając hołd tym wartościom, które przede wszystkim cechują grę Sztompki: przemyślenie, kultura, umiar, unikanie efekciarstwa.

Na piątkowym wieczorze usłyszeliśmy pod batutą W. Bierdiajewa skrzypka St. Mikuszewskiego w koncercie Paganiniego z orkiestrą. Tak techniczne, jak i stylistyczne opanowanie dzieła każe nam żałować, że nie słyszymy częściej Mikuszewskiego na estradzie. Na zakończenie programu usłyszeliśmy pierwsze wykonanie II symfonii Bolesława Woytowicza. Jest to nowa pozycja, należąca do najpoważniejszych w polskiej literaturze symfonicznej. Bierdiajew opanował wszystkie trudności związane z wykonaniem tego dzieła i wykazał wielkie zrozumienie dla muzyki współczesnej, za co należy mu się specjalne uznanie. Dzieło Woytowicza pełne jest patosu, frazy wypowiadane są do końca, budowa jest klasyczna, instrumentacja wykazuje nerw urodzonego symfonisty. Symfonia ta jest jednym więcej dowodem światowego poziomu polskiej muzyki współczesnej.

Na poranku 24. II. Ada Sari odśpiewała pod batutą Bierdiajewa arie Rossiniego, Verdiego i wariacje Mozarta. Śpiewaczka była w znakomitej formie i koncert ten był dowodem, że wielka szkoła i rutyna są rękojmią lekkości i gwarancją wokalnego poziomu, gdy ktoś ma głos Ady Sari. Powtórzenie „Niedokończonej" Schuberta i „Świtu nad Moskwą" Mussorgskiego, to już repertuar partytur, które Bierdiajew z orkiestrą krakowską gra „na pewniaka", a publiczność śledzi z niesłabnącym entuzjazmem. W takie programy można by zawsze wetknąć jakiś „rodzynek", który by obznajamiał słuchaczy z mniej znaną im lub nawet mniej łatwostrawną pozycją literatury muzycznej. „Tańca szkieletów" Saint-Saënsa, choć jest doskonałą muzyką, nie uważamy za ten rodzynek. Gdy śpiewa Ada Sari, to można zagrać wszystko. Ludzie przyjdą, choćby tam były i dzieła uważane za przysłowione „cegły" muzyczne.

Zygmunt Mycielski

KORESPONDENCJA

W SPRAWIE PIERWSZEGO PRZEDSTAWIENIA „WESELA FIGARA" W POLSCE

Do redaktora „Odrodzenia"

W ciekawej notatce o „Weselu Figara" pomieszczonej w nr 63 „Odrodzenia" poruszył Jan Sztaudynger sprawę prapremiery wspomnianej komedii w Warszawie w r. 1783. Do podanej przez niego wiadomości pragnę dorzucić kilka uzupełnień.

Beaumarchais miał dużo kłopotów, nim „Wesele Figara" zostało wystawione na scenie paryskiej. Komedia ta, mogąca być słusznie nazwaną jednym z głównych manifestów idei rewolucyjnych (przypominam choćby głośny monolog Figara piętnujący w silnych słowach zgniliznę moralną panującą we Francji), wzbudziła poważne wątpliwości wśród sfer rządzących, które przez dłuższy czas nie pozwalały na jej wystawienie publiczne w Paryżu.

Wiadomość o tych perypetiach Beaumarchais'go doszła i do „Paryża — północy" — Warszawy, a tu specjalnie zajęła się tą sprawą Karolina z Gadzkich de Nassau. W wysokim stopniu utalentowana, wykształcona, znająca bardzo dobrze literaturę francuską, zainteresowała się „Weselem Figara" i powzięła myśl wystawienia komedii tej w Warszawie. Może był to kaprys wielkiej pani, ale kaprys, przynoszący jej zaszczyt, świadczący o wielkim przez nią zrozumieniu idei „Wesela Figara". Dzięki wpływom swoim i znajomościom w Paryżu, potrafiła wydostać egzemplarz komedii, a teraz do urzeczywistnienia jej planu była już łatwa droga. I w Warszawie jednak o wystawieniu publicznym „Wesela Figara" nie można było myśleć, stąd całe przedsięwzięcie przybrało znacznie skromniejsze rozmiary, musiano bowiem poprzestać na wystawieniu komedii w teatrze amatorskim Karoliny de Nassau. Otóż ów fakt prapremiery „Wesela Figara" w Warszawie, jako też starania o przekład komedii, którego dokonał Mikołaj Wolski (przekład wyszedł drukiem w r. 1786 w Warszawie) są stanowczo poważną zasługą Karoliny de Nassau w dziejach sceny polskiej.

Te to właśnie momenty podkreśliłem w artykule „O pierwszym przedstawieniu Figara w Polsce", ogłoszonym w „Kurierze Lwowskim" w r. 1914, nr. 82 **(a więc na 11 lat przed Ludwikiem Bernackim)**; po raz drugi wspomniałem o tej kwestii pokrótce w pracy mej „Rozwój poezji dramatycznej w Polsce. Część I. W epoce przedrozbiorowej" (Kraków, 1918).

O ile dotychczasowe wiadomości pozwalają sądzić, rola Karoliny de Nassau jako orędowniczki sceny polskiej ograniczyła się do tego jednego wypadku; może jednak w przyszłości wyjdą jeszcze na jaw jakieś nieznane szczegóły o jej działalności w tym kierunku.

Wiktor Hahn (Warszawa)

W SPRAWIE „KOSTKA"

Do redaktora „Odrodzenia"

W 55 numerze „Odrodzenia" ukazało się wspomnienie z oświęcimskiego obozu koncentracyjnego „Kostek". Autor jego przedstawił błędnie szereg faktów z bohaterskiej działalności Aleksandra Jagiełły, członka konspiracyjnej „Grupy Oświęcim", najdzielniejszego naszego towarzysza podziemnej pracy obozowej, wypaczył obraz tej działalności.

Pomiędzy numerem obozowym autora a bohatera autentycznego opowiadania jest różnica wielu lat, nic więc dziwnego, że autor znał Jagiełłę tylko w ostatnim okresie jego roboty i to bardzo niedostatecznie. Kostek był członkiem jednej z pierwszych grup politycznych na terenie obozu oświęcimskiego, grupy zamordowanego przez Niemców działacza lewicowego Dubois. Grupa ta wraz z grupą socjalistyczną skupiającą się wokoło obecnego sekretarza generalnego PPS — Cyrankiewicza weszła w skład międzynarodowej organizacji obozowej lewicy „Grupy Oświęcim", której jednym z najbardziej odważnych, pełnym poświęcenia funkcjonariuszem był właśnie opisany w wymienionym opowiadaniu — Kostek. Jego zasługą jest poszerzenie naszej organizacji, zorganizowanie wywiadu i komunikacji z wolnym światem. Z ramienia tej organizacji stworzył na terenie obozu w Birkenau (Brzezinki) nowe grupy konspiracyjne, pracując również politycznie wśród Polek obozu kobiecego. Dzięki swobodnemu stosunkowo poruszaniu się po terenie obozów przenosił z centrali naszej setki paczek lekarstw i żywności dla więźniów i więźniarek, dla chorych, dla potrzebujących pomocy. Ucieczka jego nie była przypadkowa. Przygotowana została i zorganizowana przez „Grupę Oświęcim", celem nawiązania ściślejszej łączności ze światem zewnętrznym, celem wzmocnienia naszej podstawy organizacyjnej w Brzeszczach, zorganizowania pomocy w ucieczkach i ściągnięcia posiłków bojowych dla naszej organizacji na teren przyobozowy. „Kostek" po ucieczce udał się do Warszawy i Krakowa, aby skłonić polskie władze podziemne do zajęcia się sprawą więźniów politycznych. Gorący zwolennik jednolitego frontu, już w obozie krytykował ostro i zwalczał te ugrupowania, które przeciwstawiały się wspólnej walce całego narodu z okupantem. Poza obozem, przebywając w jego najbliższym sąsiedztwie nawiązuje wspólne prace z lokalnym dowództwem AK, które zaczyna zasypywać swych zwolenników w obozie oszczerstwami pod jego adresem. Współżycie z grupą AK na terenie podobozowym staje się coraz cięższe, mimo że w samym obozie wszystkie grupy polityczne i wojskowe utworzyły wspólne dowództwo wojskowe „Radę Wojskową". „Kostek" spotyka się wielokrotnie z łącznikiem naszej grupy, esesowcem polskiego pochodzenia, imponując wszystkim brawurową odwagą i pogardą życia organizuje pomoc w ucieczkach, przekazywanie zbiegów do punktów oparcia, wysyłkę materiałów dokumentarnych z obozu „na wolność".

Nie zginął bynajmniej, jak podaje autor wspomnienia, w czasie odbicia kopalni Brzeszcze. Zginął w akcji. Śmierć jego jest przykładem, którego nie wolno przeplatać bajeczkami.

Po pierwszej ewakuacji obozu, po wysłaniu przez „Grupę Oświęcim" wartościowego aktywu „na wolność", przyszła kolej na ostatnią grupę, która miała wedle planu zbiec i włączyć się w ogólnopolską walkę z Niemcami. Do grupy tej należał oficer AK — Pionty, członek oświęcimskiej Rady Wojskowej, ZWZetowiec Świerczyna, dwóch Polaków z Krakowa — Rajnoch (artysta rzeźbiarz) i Duzel (student) oraz kierownik polityczny Grupy, Austriak Ernst Bürger wraz ze swymi towarzyszami. Grupę tę, która uciekała autem, przejąć miał właśnie — „Kostek". Na skutek zdrady esesowca „Kostek" wraz z bojówką, złożoną z byłych więźniów, wpadł w pułapkę. Wywiązała się walka, w której „Kostek" poniósł śmierć od kul hitlerowskich. Spośród uciekających obaj krakowianie otruli się, biorąc całą winę na siebie, reszta zginęła na szubienicy. Tak wyglądała działalność i śmierć Aleksandra Jagiełły. „Kostka" ideowo przynależnego do Socjalistów Polskich, duszą całą oddanego sprawie reprezentowanej za drutami kolczastymi obozu przez „Grupę Oświęcim".

Tadeusz Holuj (Kraków)

SPROSTOWANIE

Do redaktora „Odrodzenia"

W „Przeglądzie prasy" opublikowanym w nr 63 „Odrodzenie", autor „Przeglądu" omawiając artykuł Romana Bratnego „Epoka" („Życie literackie", z. II, nr 1—2) popełnił parę nieścisłości bio- i bibliograficznych, o których sprostowanie proszę niniejszym.

Mylnie zostało podane, że Tadeusz Borowski, autor wydanego w Warszawie konspiracyjnie tomiku poezji „Gdziekolwiek ziemia", jest jedynym pisarzem z warszawskiej, konspiracyjnej grupy poetyckiej „Sztuka i Naród", który przeżył wojnę, albowiem Borowski do grupy „Sztuki i Narodu" nie należał. W artykule „Epoka" Bratny omawia twórczość pisarzy skupionych wokół trzech pism literackich Warszawy podziemnej: „Sztuka i Naród", „Droga" i „Dźwigary". Borowski genetycznie należał do grupy „Droga".

Mylne jest również twierdzenie, że z grupy „Sztuka i Naród" wszyscy zginęli, albowiem ocalało trzech ostatnich członków tej grupy poetyckiej: Lesław M. Bartelski-Gierut, Andrzej Augustowski oraz niżej podpisany.

Tekst piosenki żołnierskiej ze słowami
„Widzę nawet szybki łzawe, twój policzek,
a ja nie chcę, miła moja, wolę bić się"
nie został ułożony przez Bojarskiego, jak błędnie podał autor „Przeglądu prasy", lecz przez Tadeusza Gajcy-Topornickiego, autora „Widm" i „Gromu powszedniego". **Stanisław Ziembicki** (Warszawa)

Redaktor naczelny: KAROL KURYLUK.— Adres redakcji: Basztowa 15, m. 8, tel. 593-28 i 507-12.— Redaktor przyjmuje od godziny 11 do 12. — Adres administracji: Wielopole 1, telefon 545-60-62.
Prenumerata kwartalna 87 zł.
M — 08071 Drukarnia Narodowa w Krakowie. — Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik".